

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.



KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY:

w Wilnie

Rocznie	6.—
Półrocznie	3.—
Kwartalnie	1 50
Miesięcznie	50

Z przesyłką poczt. dostawę do domu

Rocznie	7.—
Półrocznie	3.50
Kwartalnie	1.75
Miesięcznie	60

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Tatarska 1 m. 13.

Otwarte codziennie prócz świąt od
godziny 11 do 3 i od 5 do 7.

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu	50 k.
W tekście (nadesłane)	1 rb.
Po tekście	20 k.

Numer pojedynczy 15 kop.

Ideja Jagiellońska.

Z wyrażeniem powyższem spotykamy się nieustannie, ilekroć nacjonalizm rosyjski występuje z nowym projektem ograniczeń praw ludności polskiej na Litwie i Białejrusi. „Dopóki polacy nie zrezygnują z idei Jagiellońskiej, dopóty mowy być nie może o zaprzestaniu polityki represyjnej”—leitmotiv ten powtarza się wciąż we wszystkich przemówieniach i artykułach działaczy kresowych.

Ideja Jagiellońska! Jakże szumnie i górnie brzmią te dwa słowa! W sercu polskiem wywołują one słodkie wspomnienia dawnych świetnych czasów potęgi państwowej, korowód strojnych w delje i żupany senatorów przesuwa się przed oczami, słysząc łopot porożców i szcęk zbroic pancernych. Niewidzialna ręka przerzuca z tajemniczym szelestem po żółtkie karty pergaminów, na których barwią się i czernią misternie rękę pisarza kancelarii królewskiej wystawione ozdobne inicjały i litery wiekopomnego aktu Unji Lubelskiej...

W duszy przeciętnego rosjanina, czerpiącego swą wiedzę historyczną z łowajskiego, słowa: „ideja Jagiellońska“ budzić mogą tylko przykre wspomnienia długich nudnych godzin suchego wykładu „otieczestwiennoji istorii“ i odrzazę do powracającego z lat dziecinnych koszmaru niewykutej dostatecznie lekcji... O idei Jagiellońskiej wie on bowiem tyle tylko, ile słyszał na ławie szkolnej od swego nauczyciela, który go zanudzał monotonnym odczytywaniem całych stron z podręcznika, zatwierdzonego przez Komitet Naukowy do użytku w szkołach podległych ministerjum oświaty...

Nie zdaje on sobie sprawy dostatecznej, co mają oznaczać w dzisiejszych czasach prozaicznych III-ej Dumy Państwowej i rządów niepodzielnych hr. Bobrinskiego, owe słowa, brzmiące tak poważnie i groźnie, których treść istotna spoczęła dawno w grobach królewskich na Wawelu, wzdryga się jednak mimo woli na dźwięk ich i błogosławieństwo swe szle rycerzom z pod znaku „Now. Wremia“, co walkę za-

ciętą marom i upiorom wypowiedzieli i obrony przeciwko nim skutecznej się podjęli.

Walka z ideją Jagiellońską! Nielada bohaterstwa potrzeba, by stanąć do boju z tak potężną siłą, która wieki przetrwała i majestatycznie kroczy po gruzach i spróchniałych kościach wśród zgiętych w kornym pokłonie tłumów... I próżne byłyby wszystkie wasze wysiłki i zabiegi pp. Bobrinscy i Zamyśłowscy, na nic wszelkie represje i środki wyjątkowe, gdyby ideja Jagiellońska istotnie żyła i trwała. Nie zwyciężylibyście jej wówczas żadną miarą. Ale ona dawno już umarła.

Złożyły ją do trumny te same ręce, które ongi chwyciły sztandar z jej godłem, które mieczem broniły jej czci i panowania, które, bezsilne już, brzękiem kajdanów, hołd swój jej składały i wierność zaprzysięgały. Zeszła ona z tego świata równo z tem, jak ułożyli się do snu wiecznego rycerze jej i kapłani.

Królowie polscy powołali ją do życia, a szlachta polska straż jej stanowiła. Dziś niema królów polskich, a szlachta? Czyż jej się obawiacie, pp. nacjonalisci rosyjscy?

Jeżeli tak, to zapytajcie sprawników. Ci wasz niepokój wyśmieją.

Ideja Jagiellońska umarła, i o tem również dobrze wiemy my, jak wy, co wciąż tego straszaka ukazujecie zdenerwowanemu społeczeństwu rosyjskiemu. Umarła, bo umrzeć musiała, bo nie miała gruntu pod sobą, bo żyła tylko w duszy szlachty, bo zjednać nie potrafiła ludu, który obcy jej pozostał i obojętny. A czegoż warte są dziś hasła i programy, które mas ludowych pod uwagę nie biorą? Kto się z niemi liczy i jaka ich siła?

Ideja Jagiellońska taka, jaką ją nam przekazały tradycje przedpowstaniowe, miała pozory świetności i potęgi, dopóki Rzeczypospolitą reprezentowała i o jej losach decydowała szlachta, nim nie przemógł lud. Gdy ten się obudził, gdy świadomość narodowa zaczęła przenikać masy litewskie i białoruskie, złudzenia przysły. Na jaw wyszło, na jak kruchych podstawach wsparta była Unja.

„My prałaci, rycerstwo i szlachta korony polskiej zespoliliśmy i zjednoczyli i dokumentem niniejszym zespalamy i jednoczymy nasze domy, po-

kolenia, rody, herby i klejnoty herbowe ze wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem "... Tak oto brzmi ustęp z aktu Unji Horodelskiej. Zjednoczenie i zespolenie szlachty polskiej z bojarstwem litewsko-białoruskiem. Lud pozostał bierny i niemy. Nie pytano go o zgodę ani wówczas, ani później. Nie uczestniczył on w sejmach, na których pakta ponawiano i potwierdzano; żadnego udziału w święcie zbratania się nie brał. W ciągu kilku wieków nikt go o celach i istocie Unji nie uświadamiał. Obcą więc i niezrozumiałą była i jest dlań idea Jagiellońska.

O tem również dobrze wiemy my i wiedzą nacjonalisci rosyjscy. Czemu się więc obawiają?

Czy tego, że może powstać z grobu i zniewolić czarem królewskiego majestatu duszę chłopca litewskiego lub białoruskiego, że swą postacią tragiczną porwie ze sobą potomków hetmanów i wojewodów? Lecz wnukowie rycerzy przerobili miecze przodków na piły tartaków, a lud nasz głuchym pozostanie na szum skrzydeł ptaka srebrnopiórego i tętent podków zbrojnego rumaka.

„Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia“.

Dziś zgoła inne zadania stają przed nami. Wizji królewskiej przeszłości nie wywołujemy na codzienny użytek. Rychłoby spowszedniały i utraciły swą moc krzepiącą, którą posiadają właśnie dzięki swemu mistycznemu urokowi. Z polityką aktualną nie mają one nic wspólnego.

Ta się opierać musi na podstawach realnych i uwzględniać warunki istniejące, a nie wypiąstowane w tajnikach duszy marzącej.

Rzeczywistość zaś powiada wyraźnie, iż tradycje szlacheckie nie przeniknęły do mas ludowych, że lud posiada własne swe dążenia i aspiracje, że nie wzruszają go uroczyste przysięgi horodelskie i lubelskie.

Lud litewski, a za nim i białoruski stają się dziś narodami i chcą przemawiać sami we własnym imieniu. Mają do tego niezaprzeczone prawo. Słuchamy bacznie tych głosów, a jest w nich wszystko, prócz reminiscencji historycznych. Nie narzucamy więc ich, bo wiemy, że nie można sztucznie wywołać wspomnień tych chwil, których człowiek nie przeżywał. A iść wbrew i pomimo większości, budować

zamki na lodzie byłoby nie tylko robotą bezcelową, lecz i szkodliwą, bo zużywającą nieprodukcyjnie energię i siły nasze.

Spółceństwo polskie na Litwie dawno już zrezygnowało z roli żywiołu panującego i lekceważącego współobywateli litwinów i białorusinów. Porozumieć się z nimi pragnie i wspólny grunt dla wspólnej pracy wynaleźć. A tym łącznikiem mogą być tylko interesy i potrzeby naszego kraju, którego losy jednak wszystkich jego synów obchodzić powinny.

Nie przesadzamy, jaką będzie jego przyszłość i w jakim kierunku podąży proces rozwojowy. Ale nie ulega wątpliwości, że wszelkie tendencje, czepiane czy to z przeszłości, czy z koncepcji sztucznie stworzonych, skazane są z góry na vegetację i jałowość.

Idea Jagiellońska była dziełem panów polsko-litewskich. Tych rola dziejowa jest skończoną. Teraz kolej na lud polski, litewski i białoruski. Co te nowe i mało jeszcze znane siły sobie powiedzą, jakie przymierza zechcą zawierać, na jakich podstawach swój stosunek opierać—przyszłość to pokaże, dość daleka. Nie przewidzieć tego ani nam, ani tembardziej działaczom z obozu nacjonalistów rosyjskich. Ale idei Jagiellońskiej, jako idei państwa Polskiego od morza do morza, nie traktuje dziś nikt w społeczeństwie polskim na serjo.

Stwierdził to kategorycznie zresztą p. Roman Dmowski, gorliwy obrońca tradycji szlacheckich, w książce swej: „Rosja, Niemcy i kwestja Polska“.

Czas więc już wielki, by zaprzestano zakłócać spokój prochów spoczywającego w koronie i z berłem królewskim widma przeszłości.

Ludwik Abramowicz.

Nasz przemysł.

Litwa i Białoruś—są dotychczas krajem przeważnie rolniczym i drobnoprzemysłowym. Jeżeli wyłączymy fabryczny okrąg białostocki, to jeno w kilku nielicznych punktach dostrzeżemy stałe skupienia większego przemysłu, jako to w Szaw-

GUSTAW DANIŁOWSKI.

ZELMA.

Stolik pod lustrem w knajpce Sans-souci nosił sygnaturkę—„zajęty“, przy nim bowiem stałe późnym wieczorem, a czasem i o rozmaitych porach dnia, zbierała się artystyczna drużyna—ludzie dość jeszcze młodzi, niewątpliwie utalentowani, ale w przeważnej swej liczbie wyraźnie idący na przepaść.

Do grona tego należał aktor o wyrazistych rysach, żywej mimice i ładnej postawie, ale z tak przepitem i ochryplem gardłem, że mógł grywać tylko role podrzędne; kolegą jego po fachu i kieliszku był śpiewak, z bożej łaski, który brak szkoły i naderwany głos, zwłaszcza w górnych rejestrach, sztukował temperamentem, wyprężaniem rąk i przyzymkaniem powłóczyстых oczu, co w kabarecie wywoływało pożądane wrażenie.

Do stałych gości należało też dwóch malarzy, z których jeden od czasu zdobycia srebrnego medalu na wystawie szkiców nie mógł się posunąć ani

o krok dalej, a drugiemu ciągle coś stawało na przeszkodzie zabrać się do wykończenia dzieł wielkich i oddawna zapowiadanych.

Nainteligientniejszym i najbardziej wykształconym z całej tej kompanji wykojeńców był tak zwany poeta—najmłodszy i bodaj najniezwyklejszy. Wszyscy bowiem jego koledzy miewali swoje chwile tryumfu, jeżeli nie teraz, to we wspomnieniach, i tem się pokrzepiając, żyli.

Mirskiemu nie powodziło się nigdy. Czuł, że posiada dar poetycki, oryginalny i niezdołny do naśladownictwa, które zapewniało innym tytuły znanych i poczytnych, ale zarazem jakaś krzywiznę w tym talencie, skutkiem czego wiersze jego uchodziły za dziwactwa.

Redaktorzy, czytając jego rozczapirzone zwrotki, wrzucali ramionami, czasem cytowali je dla śmiechu w odpowiedziach od redakcji, i jedynie pisma postępowe zdobywały się na odwagę wydrukować coś z tych poezji, ale zawsze gdzieś na szarym końcu, w jakiejś mało widocznej luce, którą można było byle czem zapełnić. Wzajemna adoracja, obowiązująca w tem gronie, rozciągała się i na Mirskiego, ale i tu w przystępach dobrego humoru dopuszczano się ko-

lach, Dyneburgu, Wilnie, Smorgoniach, Borysowie i innych, które, jak drobne oazy, toną w środowisku nawskroś rolniczym i drobnoprzemysłowym. Skupienia te zresztą są same przez się bardzo wątłe i nietylko krajowi, ale nawet tym miastom poszczególnym nie nadają oblicza wielkoprzemysłowego.

Wychodźstwo zarobkowe ze wsi do miast naszych jest o wiele więcej skierowane do rzemiosł oraz wszelkiego rodzaju posługi osobistej, niż do właściwego przemysłu fabrycznego. Wychodźstwo natomiast na zarobki przemysłowe jest skierowane bądź do miast nadbałtyckich, bądź do Petersburga lub okręgu moskiewskiego, zależnie od poszczególnych dzielnic kraju. Miasta krajowe, nawet te, które posiadają załazki przemysłu fabrycznego, tworzą środowiska przeważającego typu drobnomieszczańskiego.

Uprzemysłowienie jednak kraju naszego, czyni postępy, aczkolwiek powolne. Produkcja przemysłowa (przetwórcza) opiera się coraz bardziej na zasadach kapitalistycznych. W całym szeregu poszczególnych gałęzi przemysłu, jak gorzelnictwo, tartaki, przemysł garbarski i t. d., widoczne jest dążenie do koncentracji produkcji a nawet do planowego regulowania kampanji przemysłowej i panowania nad rynkiem zbytu. W dziedzinach tych oczywiście przemysł wyszedł już oddawna ze stadjum produkcji na użytek wewnętrzny; produkcja jego jest *towarowa*, to znaczy, że jest skierowana do zbytu na zewnątrz, na rynek.

Gorzelnictwo naprz. w swym stadjum pierwotnym miało na celu potrzeby wewnętrzne majątku, któremu służyło. Było jednym z ogniw wewnętrznych poszczególnego gospodarstwa wiejskiego, przetwarzało jego produkty surowe i jednocześnie zasilalo je, wspierając hodowlę bydła i produkcję nabiału przez dostarczenie pokarmu w postaci brahy oraz zwiększając produkcję nawozu, jako systematycznego zasilku ziemi. W ustroju pańszczyźnianym, gdy prawo szynkowania wódki było monopolem dziedzica wewnątrz dóbr jego, gorzelnie były w majątkach ziemskich jeno uzupełnieniem wewnętrznego mechanizmu ekonomicznego, opartego na zasadach gospodarki natu-

ralnej; wspierały kapitalnie gospodarstwo i jednocześnie zapewniały dopływ pieniędzy.

Stopniowo, ze zmianą społecznych warunków gospodarczych, gorzelnictwo całkowicie się przekształciło; uniezależniło się od wewnętrznej produkcji majątku, wyodrębniło się w osobną gałąź przemysłu przetwórczego. Zadaniem jego staje się coraz bardziej produkowanie towaru dla zbytu, a założenie to wpływa radykalnie na charakter i tendencje jego w ogólnej ekonomice rolnej. Gorzelnia przekształca się w przedsięwzięcie spekulacyjne, kapitalistyczne, zwiększa i koncentruje produkcję, udoskonala technikę wytwórczą, nie zadawania się surowcem własnym, lecz kupuje takowy zzewnątrz, wreszcie zasadza nową spekulacyjną formę gospodarczą w postaci tuczenia bydła opasowego. Oczywiście, że nawet w tej wyższej i doskonalszej postaci swojej gorzelnictwo nie zrywa całkowicie związku z wewnętrzną produkcją rolną majątku; bowiem i produkcja surowca własnego zazwyczaj równolegle wzrasta i zasilek nawozu jest kapitalnym dla majątku dobytkiem.

Ale stosunek gorzelnicy, jako przedsięwzięcia kapitalistycznego, do majątku i gospodarstwa wiejskiego się zmienia. Już nie tyle gorzelnia służy majątkowi i spełnia w nim jeno pewną funkcję gospodarczą, ile raczej majątek się stosuje do niej i jej służy. Punkt ciężkości założeń gospodarczych przenosi się z potrzeb wewnętrznych majątku do potrzeb zbytu i warunków, określonych przez rynek zewnętrzny. Produkcja kapitalistyczna, towarowa, ma swoje konsekwencje ekonomiczne bardzo wyraziste. Gorzelnia taka już nietylko się emancypuje od stanowiska służbowego wewnątrz własnego majątku, ale zaczyna wpływać na kształtowanie się produkcji pierwotnej w okolicy. Ma już ona swoją sferę wpływów, zaczyna być ośrodkiem, do którego się stosują okoliczni producenci surowca.

Ten przykład z gorzelnią stosuje się i do wielu innych gałęzi przemysłu przetwórczego, które już wyjsć zdołały ze stadjum gospodarki naturalnej na tory kapitalistyczne. Są to już dziś gałęzie rozwinięte, postępujące po drodze kapitalistycznej. Wspomniałem wyżej, że w takich gałę-

micznych trawestacji jego wyszukanych rymów i na bardzo odległych analogjach osnutych porównań. Zalewanie tego wspólnego wszystkim robaka braku uznania nie udawało się Mirskiemu tak dobrze, jak innym. Miał bowiem dziwne pod tym względem usposobienie. Podczas, gdy towarzysze jego po odpowiedniej dozie kieliszków nabierali niezwyklej pewności siebie i fantazji: śpiewak porywał się do operowych arji, aktor przedstawiał bohaterów Szekspira, malarze urągali od mydlarzy wszelkim mistrzom, odgrając się, że oni dopiero im pokażą — Mirskiego, w miarę potęgowania się hulaszczey atmosfery, ogarniał coraz cięższy, beznadziejny smutek — brał głowę w dłonie i zalewał się łzami, otwierał, jak dowcipkowanie, — dystylarnię.

Pijatyki takie zdarzały się nierzadko, ilekroć bowiem który z kompanji zerwał gdzie kawał grosza, czuł się w obowiązku przepuścić wszystko tegoż wieczoru. Pozatem częstymi fundatorami bib byli tak zwani weseli pasażerzy, przygodni znajomi, przeważnie przyjezdni z prowincji, którzy, wciągani najczęściej przez aktora w „koło artystów“, poznawali nocne życie miasta.

Od paru dni taką dobrowolną jednak i świa-

domą ofiarą był daleki kuzyn Mirskiego — Jarzębski, człowiek zamożny i niegłupi, który przyjechawszy ze wsi, sam odszukał poetę i wyraził chęć w wesolem towarzystwie trochę się przewietrzyć i pobąblować.

Dziś właśnie w zamkniętej od frontu knajpie odbywały się szumne poprawiny. Stolik był zastawiony i zalany wódką, porterem i szampanem, który pito już bez wyboru, jak się komu zdarzyło.

Śpiewak, purpurowy z wysiłku, wyciągał, ile głosu starczyło:

— Wiatr za szybami śmieje się,
Psia krew! — to życie takie złe! —

Aktor deklamował do lustra Otella, a jeden z malarzy przy każdym „psia krew“ — tłukł z pasją kieliszki.

Do ordynku — panowie szlachta, — wprowadził chwilowo jaki-taki ład rozweselony obywatel, napełniając kieliszki.

— Niech bractwo żłopie, bo jutro wyjeżdżam — zapraszał bez żenady.

Złoty chłop — jak Boga Kocham! — pożycz mi 10 rubli, zyskał moment przytomności aktor, i wkłada-

ziach przemysłu w naszym kraju, jak gorzelnictwo, tartaki, garbarstwo i niektóre inne, widocznie już jest dziś dążenie do planowego regulowania rynku zbytu. Te dążenia organizacyjne wskazują już niewątpliwie na pewien stopień dojrzałości kapitalistycznej. Widzimy więc po wstawianiu związków gorzelników, przemysłowców leśnych, garbarzy. Tego rodzaju zjawiska należą niewątpliwie do nader ciekawych i charakterystycznych i powinny być starannie przez prasę krajową badane i poznawane.

Wielka też szkoda, że krajowe instytucje naukowe, jak naprz. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie lub Litewskie Towarzystwo Naukowe nie zdołały utworzyć dotychczas sekcji ekonomicznych w swym łonie dla systematycznego gromadzenia materiałów i rozpoczęcia studjów źródłowych w zakresie gospodarki społecznej w kraju.

Posiadamy więc w kraju załazki przemysłu kapitalistycznego, który w niektórych gałęziach rozwija się konsekwentnie i systematycznie. Wogóle wszakże stopień uprzemysłowienia kraju jest jeszcze bardzo niski.

Stwierdzić tu bowiem narazie i przedewszystkiem musimy jedną charakterystyczną cechę naszego przemysłu krajowego. Jeżeli mianowicie może być u nas mowa o wielkim przemyśle fabrycznym, to tylko o przemyśle przetwórczym pierwotnych produktów rolnych, i to produktów przeważnie wytwórczości krajowej. Górnictwa nie posiadamy wcale, co pochodzi zresztą z braku po temu warunków naturalnych. Fabrycznego przemysłu przetwórczego, wyodrębnionego od produkcji krajowej, takiego, jak naprz. przemysł metalowy, włóknisty, wełniany, — nie posiadamy również, bo parę istniejących zakładów tego rodzaju, jak naprz. fabryki pilników żelaznych i t. p. — nie mogą być miarodajne dla całego kraju. Są to wyjątki całkowicie odosobnione. Przemysł włóknisty i wełniany tego typu istnieje u nas jedynie w okręgu białostockim, który zresztą pod względem przemysłowym wyróżnia się wogóle od całego kraju naszego i zbliża się do Królestwa Polskiego.

Wytwórczość przeto krajowa nie wkroczyła jeszcze na te tory rozwoju, kiedy przetwarzaniu

ulegają surowce dowożone. Przemysł nasz wprawdzie wzrasta, ale wolno i bez wybitnej koncentracji lokalnej. Ten szczegół ostatni jest także do zanotowania, bo ma poważne konsekwencje społeczne i kulturalne.

Wszystkie niemal gałęzie przemysłu, jakie posiadamy, są w ten lub inny sposób związane z rolnictwem i opierają się na gospodarce wiejskiej. Do najwybitniejszych gałęzi przemysłu należy u nas garbarstwo, gorzelnictwo, krochmalnie, browary, tartaki, papiernie, fabryki zapalek, huty szklane i młyny. Przewagę więc mają przeroby produktów ścisłego rolnictwa i materiału drzewnego. W stosunku wszakże zwłaszcza do tego ostatniego, zważywszy wielką wydajność produkcji drzewa w kraju, przemysł przetwórczy jest niezmiernie ubogi. Handel drzewny stanowi jedną z kapitalnych rubryk handlu krajowego.

Oprócz konsumpcji krajowej olbrzymie ilości drzewa idą na eksport w postaci surowca. Eksploatacja lasów ma w wielu miejscowościach kraju, zwłaszcza nad rzekami spławnymi i wzdłuż linii kolejowych, charakter rabunkowy. Popyt na surowiec drzewny w handlu eksportowym oraz szereg czynników bardziej złożonych, których przesłanki i działanie wykraczają poza zakres warunków krajowych, sprawiają, że całe mnóstwo gałęzi przemysłu drzewnego leży u nas odłogiem lub się uprawia jeno w postaci drobnego przemysłu luźnego; wyroby drobnych przedmiotów z drzewa, narzędzi, zabawek, mebli, szpul i t. d. — nie rozwinęły się w osobne poważne gałęzie wielkiego przemysłu fabrycznego.

W szeregu wymienionych wyżej gałęzi przemysłu, które w kraju naszym zdołały się rozwinąć, niektóre, jak garbarstwo, posługują się też surowcem dowożonym, atoli przeważającą cechą przemysłu tego jest właśnie użytkowanie i przeróbka produktów krajowych.

W innym artykule wrócę jeszcze do tematu powyższego i postaram się uwydatnić tak poszczególne braki i cechy zaznaczonych tu w rysach ogólnych właściwości przemysłu naszego, jak konsekwencje społeczne obecnego poziomu uprzemysłowienia kraju.

Michał Römer.

jąc imperjał do kieszeni — wyrzekł z komicznym patosem:

— Ofeljo, idź do klasztoru!

Więc pić, czy nie pić? — zastanawiał się głęboko śpiewak. Chyba pić! — decydował nagle i wysuszał wszystko, co stało w pobliżu.

— Srebrny! — na wystawie szkiców — szarpał malarz Jarzębskiego za rękaw.

Zostaw, bo mi urwiesz kończyne — bronił się obywatel.

Co? nie wierzysz! — mogę pokazać — wydobył kwit z lombardu, — dotychczas nie wykupiony, pewno już sprzedali — pal djabli! ale kwit, co mam, to mam i kilka bajecznych szkiców... mogę ci sprzedać — dla ciebie po 5 rubli sztuka w sztuce.

Niestety, jutro wyjeżdżam — śmiał się głośno i rozlewnie obywatel, ale trzy weźmę, płacę gotówką — przysyłsz mi pocztą — wymienił adres.

Mirek! — cóż ty nie pijesz i siedzisz, jak sowa? — zwrócił się do poety.

Mirskiemu było istotnie markotno — mierziło go tak wyraźne naciąganie, wstydził się za swoją kompanję, widząc, jak krewny wszystko doskonale rozumie i trafnie ocenia.

— Chodźmy już — rzekł sucho — głowa mnie boli, dość tego!..

No więc — panowie! — czas do domu, czas, zabawili nas — zanucił Jarzębski, załatwił rachunek i, nie czekając, aż reszta się wybierze, wyszedł z Mirskim na ulicę.

— Skąpo jedzą — to też się łatwo urzynają, ja mógłbym drugie tyle — gadał, — wkładając rękawiczki — wiesz co, mam ochotę, tak na zakończenie wdepnąć do jakiej dziewuchy; gdzie tu zobaczyć warto?

— Właściwie nigdzie — najdrożej u Gotlibowej?

— Daleko?

— Spory kawał!

— No, to się przejedziemy, fjakier! — zawołał parokonkę — wymienił adres miejsca i dalej ciągnął:

— Ty się ze mną nie żenuj, proszę cię... wiem, że ci się nie przelewa — a u mnie buraki — sam cukier i pszenica w tym roku, jak złoto. Mógłbyś do mnie kiedy wpaść — zapołowałibyśmy, odkarmiłbym cię — sam jestem, mam gospodynię — jędrne to i rumiane, ale głupie, jak but, a nawet, jak para...

C. d. n.

Rozproszone siły.

Nieraz spotykamy się ze zdaniem, iż wobec niewielu placówek w kraju inteligencja polska zmuszona jest szukać chleba w gubernjach rosyjskich a nawet na wschodnich kresach państwa. Sądzymy, że zdanie to w znacznej mierze jest przesadzone i że należy tu poczynić niektóre zasadnicze zastrzeżenia. Oczywiście, o ile jest mowa o stanowiskach na służbie rządowej, to w warunkach obecnych są one we wszystkich niemal dekanatach dla Polaków zamknięte, lecz czyż należy uważać urzędy z pensją i emeryturą za jedyny cel marzeń i dążeń ludzkich? Chyba przeciwnie, taka działalność w ściśle określonych ramach dyscypliny służbowej jest raczej skrepowaniem jednostki, niż swobodnym rozwojem uzdolnienia i pomysłowości.

Wszak poza sferą urzędów biurokratycznych pozostaje obszerne pole w dziedzinie fachów wyzwoleń, gdzie wiedza, praca i sumienność zawsze znajdują w społeczeństwie uznanie i należyta ocenę. Czyż możemy powiedzieć, że posiadamy w kraju dostateczną ilość lekarzy, adwokatów, agronomów, techników i t. d. Przecież wiemy dobrze, że jak szeroka jest Litwa i Białoruś, całe okolice w kilka i kilkunasto-milowym promieniu są pozbawione pomocy lekarskiej, na wsi i w miasteczkach dotąd jeszcze niepodzielnie panują znachory i znachorki; toż samo z poradą prawną: cały szereg miast powiatowych nie posiada ani jednego adwokata, natomiast szeroką praktykę mają najrozmaitsze ciemne figury umiejące wyzyskać analfabetyzm mas ludowych.

Gospodarka rolna za wyjątkami nielicznymi przypomina raczej feudalne czasy, niż wiek XX-ty. Wszak w wielu miejscowościach orka uprawiana bywa sochami, do zawłóczenia używane są brony drewniane, a system gospodarzy przy pomocy „połowników“ uważany jest za zupełnie wystarczający i racjonalny. A przecież kraj nasz jest na całym swym obszarze niemal wyłącznie rolniczy, jakżeż wdzięczne pole do działalności miałby u nas fachowo oświecony rolnik bądź jako gospodarz, bądź jako instruktor i organizator szerzenia kultury rolnej.

Niski stopień rozwoju przemysłu nie wyklucza bynajmniej możliwości zastosowania wiedzy technicznej. Przetwory bądź to produktów rolnych, bądź umiejętna eksploatacja bogactw leśnych przy wielkiej ilości wodnej siły, zakładanie hut szklanych, racjonalnej hodowli ryb, wykorzystanie torfowisk, wszystko to czeka na zastosowanie fachowej wiedzy technicznej.

Wzrost ludności miejscowej tak w Wilnie, jak i w innych miastach, ożywienie ruchu budowlanego, rozwój handlu w związku z narastaniem wymogów kulturalnych stwarzają cały szereg placówek dla obrotnych i zdolnych handlowców.

Reasumując zdania powyższe stanowczo twierdzimy, iż w każdej niemal dziedzinie pracy społeczno-ekonomicznej dotkliwie daje się odczuwać brak sił inteligentnych fachowo uzdolnionych i że każdy przybywający do kraju inteligent, uzbrojony w wiedzę a obdarzony dobrą wolą i chęcią do pracy, z łatwością znajmie odpowiednią placówkę.

Wychodząc z założenia, iż każdy żywy członek społeczeństwa, prócz zastosowania swej wiedzy fachowej, bierze mniej lub więcej czynny

udział w ogólnym życiu tego otoczenia, gdzie się znajduje, że przez obcowanie, wymianę myśli, należenie do tej lub owej organizacji społecznej, wywiera na pewne grono ludzi wpływ w kierunku idei przez siebie wyznawanych, jako też i sam tym wpływem podlega, należy uznać za pożądany dopływ do kraju tych przedewszystkiem jednostek, które łączności z naszym społeczeństwem nie utraciły i dla których interesy i rozwój Litwy i Białej Rusi leżą na sercu.

Wielu z wychodźców należy uważać za straconych dla kraju. Przedewszystkiem należą do nich wyznawcy zasady „tam ojczyzna, gdzie nam jest dobrze“, następnie wszyscy ci, co łączność z krajem zerwali i tak głęboko ugrzęźli w społeczeństwie innym, iż nasze dla nich stało się obcym; nie wróć oczywiście liczne zastępy karjerowiczów spekulujących na urzędach lub robeniu majątku, gdyż dla nich interes własny zawsze w życiu pierwsze zajmuje miejsce. Na braku wszystkich tych elementów kraj nie straci, gdyż byłyby one pasożytem społecznym, który nie rozumie i nie uznaje potrzeb warstw pracujących.

Są jednak, i zapewne nie mało, tacy wychodźcy z Litwy i Białej Rusi, którzy nie zerwali nici łączącej ich z rodzinnym społeczeństwem, którzy myślą i sercem do kraju się zwracają, a jednak na skutek bądź to przypadkowych okoliczności, bądź niedokładnej znajomości krajowych stosunków lub wrodzonej bierności, nie mogą się zdobyć na krok stanowczy i tęskniąc za krajem pozostają na obczyźnie.

Niezaprzeczenie wielką korzyścią dla kraju byłby powrót takich właśnie ludzi rozsianych poza jego granicami, którzy swą wiedzę, pracę i zdolności stosują na obcym dla siebie gruncie.

Emigracja polska, jak i wszelka emigracja, nie daje możliwości do rozwoju wszystkich właściwości umysłowych i psychicznych jednostki, gdyż pozostając obcym temu środowisku, w którym się znajduje, emigrant wyteża wszystkie swe wysiłki ku zdobywaniu środków materialnych, doprowadzając do stopniowego zaniku swe zdolności altruistyczno-społeczne. Twierdzenie to może spotkać zarzut, iż osobnik uspołeczniony wszędzie znajdzie możliwość do zastosowania swej pracy i korzyść społeczeństwu przyniesie. Byłoby to słusznym, gdyby społeczeństwa posiadały jednokową kulturę, fizjonomję i psychikę, a że tak nie jest, że „co kraj to obyczaj“, że poznać, zrozumieć i odczuć duszę społeczną może li tylko, a przynajmniej w znacznym stopniu łatwiej, jednostka z tegoż gruntu wyrosła, więc po większej części inteligencja na emigracji zachowując swą odrębność kulturalno-psychiczną żyje poza społeczeństwem, lub asymilując się z otoczeniem traci swe odrębne właściwości, co prowadzi stopniowo do zupełnego wynarodowienia się.

I w jednym i w drugim wypadku ponosimy stratę i to już niepowetowaną, gdyż następne pokolenie zrodzone i wychowane na emigracji jeszcze mniejszą odczuwa łączność ze społeczeństwem rodzimym, a cechy przez dziedziczość przekazane od dzieciństwa już ulegają modyfikacji na skutek wpływu otoczenia.

Nie kusimy się bynajmniej o rozwiązanie problemu emigracji, pragniemy tylko zaznaczyć, że powrót do kraju, który nie jednemu może się wydawać czezą mrzonką, lub niedościgłym marzeniem, nie jest tak trudny do urzeczywistnienia

i że napływ sił inteligentnych, fachowo uzdolnionych a zarazem dobro społeczne mających na celu, byłby niezmiernie korzystnym dla kraju, powodując wzrost kultury we wszystkich dziedzinach życia społecznego, co również nie pozostałoby bez wpływu na demokratyzację stosunków społecznych.

Aw.

Z życia litewskiego.

Rok 1911 upłynął. Prasa litewska zajęta jest sumowaniem zjawisk dodatnich i ujemnych w rozwoju kulturalnym i społecznym litwinów. Zestawienie bilansu tego jest rzeczą znużającą, albowiem w warunkach obecnych życie zbiorowe nie różni się jaskrawością faktów doniosłych, jak w chwilach potężnych przesileni społecznych. Składa się ono z szeregu drobnych na pozór wysiłków, które dopiero w całokształcie swoim dają wyraz dzieła dokonanego. Praca organiczna, którą prowadzi litwini w poszczególnych zapoczątkowaniach kulturalnych, oświatowych i społeczno-ekonomicznych, błyskotliwa nie jest i wrażenia olśniewającego nie sprawia; jest to robota szara, mrówcza zaiste, pełna trudu, wymagająca wytrwałości i wiary rzetelnej. W zestawieniu szczegółów uwydatnia się dopiero ich koordynacja planowa, jako dzieło wysiłku zbiorowego.

Trudno orzec kategorycznie, czy i ile rok ubiegły się przyczynił do postępu w poszczególnych dziedzinach litewskiego życia zbiorowego. Rok ten jest jeno ogniwem w robocie ciągłej, obliczonej na lata i pokolenia, która się nie może mierzyć ułamkami faktów szczegółowych. Dzieło takie, jak kultura narodu, rośnie przez długi bieg czasu, przez współpracownictwo pokoleń. W kulturze najbardziej się uwydatnia ciągłość rozwoju dziejowego. To też dla dokonania bilansu kulturalnego brać należy okresy dłuższe, które już dają pewną perspektywę dla badań. Rok perjodyczny, rok zwykły, który nie jest rokiem wielkiego przesilenia, streszczającego w sobie całą ewolucję poprzednią, daje więc podstawę jeno dla bilansu faktów i zjawisk, nie zaś wniosków dziejowych.

Rok ubiegły był właśnie takim rokiem przeciętnym, płynącym wolno poprzez ciężką materję bezwładu, żłobiącym mozolnie łożysko czynu zbiorowego na gładkiej powierzchni pozornego zrównoważenia społecznego.

Prasa litewska w r. 1911.

W roku ubiegłym przybyło prasie litewskiej w granicach Litwy rosyjskiej 9 wydawnictw. Charakterystyczną cechą rozwoju prasy litewskiej jest jej specjalizacja. Powstające organy obsługują pewne specjalne zakresy potrzeb; każdy z nich pełni jakąś jedną funkcję życia zbiorowego. Widzimy więc organ lutrów, organ reformatów (kalwinów), dalej jedno pismo poświęcone ściślejszym sprawom kobiet i gospodyń wiejskich (włoscianek), dalej pismo dla młodzieży, pismo poświęcone sprawom sztuki scenicznej, pismo popularne dla litwinów-włoscian gub. wileńskiej, dalej dwa pisma poświęcone sprawom ruchu spółdzielczego. Z tych ostatnich jedno zwłaszcza „Bendrija“, zapowiada się, jako organ popularny zarazem i po-

ważny, mogący oddać zaiste wielkie zasługi ruchowi spółdzielczemu.

Z dawniejszych organów prasy litewskiej przestały w roku ubiegłym wychodzić trzy, mianowicie pismo marjawickie, pismo związku organizatorów i miesięcznik społeczny, literacki i naukowy „*Visuomenė*“ („*Spółczesność*“). Upadek zwłaszcza tego ostatniego stanowi stratę dotkliwą dla publicystyki litewskiej.

Pismo te było jednym z najpoważniejszych organów prasy litewskiej; było redagowane w kierunku społeczno-demokratycznym i doborem treści, sposobem ujmowania zagadnień społecznych i kulturalnych, wreszcie ścisłością stanowiska demokratycznego górowało nad całą prasą litewską. Z upadkiem pisma tego zanika obecnie chwilowo w prasie litewskiej określony kierunek społeczny, którego wyrazicielem było „*Visuomenė*“.

W „*Visuomenė*“ drukowana była kapitalna praca p. M. B—ki p. t. „*Literatura litewska w okresie Uniwersytetu Wileńskiego*“, stanowiąca piękny przyręcznik monograficzny do dziejów kultury krajowej. Praca ta może być uważana za jedną z najważniejszych w dorobku piśmiennictwa litewskiego ostatnich lat kilku. Autor w pracy tej dał nie tylko zarys literatury litewskiej w okresie Uniwersytetu Wileńskiego, ale dokonał przedewszystkim poważnej analizy stosunków społecznych i nadał przez to dziełu swemu o wiele głębszą wartość historyczną. Uwydatnienie podłoży społecznego w prądach kulturalnych i narodowych, których wyrazem jest literatura, daje możność ustalenia więzi psychicznej, łączącej poszczególne, na pozór nieskoordynowane i luźne, przejawy twórczości ludzkiej. Szkic p. M. B—ki jest przeto faktem, który w dorobku kulturalnym litwinów ma wagę dodatnią i kreśli pozycję poważną w rubryce postępu w roku 1911. Piśmiennictwo litewskie, w którym z natury społecznych zadań jego przeważają prace drobniejsze i kompilacyjne, popularyzujące wiedzę i szerzące czytelnictwo w ramach tematów dostępnych i nieskomplikowanych, zyskuje wiele na ukazaniu się takich prac monograficznych, jaką jest praca p. M. B—ki.

Z początkiem roku 1912 prasa litewska w granicach państwa Rosyjskiego wynosi 20 samodzielnych organów perjodycznych oraz 9 dodatków do nich. Z tej liczby — 2 pisma wychodzą co drugi dzień, tygodników 5, dwutygodników 3, miesięczników 8 i roczników 2.

Litewskie Towarzystwo Artystyczne.

Jednym z najwybitniejszych towarzystw litewskich, którego działalność kulturalna rozwija się coraz lepiej, jest Litewskie Towarzystwo Artystyczne, mające siedzisko w Wilnie. Od lat szeregu urządza ono w Wilnie doroczne wystawy sztuki litewskiej, na których równoległe do dzieł twórczości indywidualnej artystów-litwinów (malarstwo, rzeźba, wzory architektury) przedstawiony jest nader ciekawy dział sztuki ludowej (tkaniny, wyroby z drzewa, rzeźba i zdobnictwo wszelkiego rodzaju, pisanki i t. p.).

Wystawy te wędrują następnie z Wilna do innych miast, posiadających większe skupienie litwinów.

Towarzystwo Artystyczne oprócz urządzania wystaw i organizowania pomocy wzajemnej artystów ma na celu popularyzację sztuki litewskiej i szerzenie wśród litwinów poczucia artystycznego.

W tym celu zakupuje dzieła sztuki dla rozłoso-
wania takowych wśród członków, rozdaje corocznie
wszystkim członkom premja artystyczne, groma-
dzi stałe zbiory własne, jako podstawę dla przy-
szłego muzeum sztuki narodowej, podejmuje wy-
dawnictwa artystyczne, urządza lub uczestniczy
w konkursach i t. d.

W r. 1911 sztuka litewska poniosła stratę
niepowetowaną w osobie przedwcześnie zmarłego
malarza i muzyka Czurlanisa. Jest to strata do-
tkliwa tak dla sztuki ogólnej, jak dla narodu li-
tewskiego. Czurlanis był wielkim artystą. Był
poetą, był myślicielem w sztuce. Dzieła jego nie
polegały li tylko na szkicowaniu konturów z na-
tury. Była to natura wrażliwa, głęboka, twórcza.
W obrazach swoich przedziwnej kompozycji wcie-
lał on swe najgłębsze wizje i tęsknoty ducha,
uwidatniał motywy zagadnień psychicznych, któ-
rych rozwiązanie leży poza sferą świadomości,
w głębokich tajemnych dziedzinach uczuć i pra-
gnień ludzkich. Z najgłębszych pokładów serca
i ducha, z nurtów tęsknoty i miłości płynęły dzieła
jego, w których artysta pragnął wcielić syntezę
nieśmiertelnych zagadnień bytu. Był wielkim sub-
iektywistą w kompozycji i jednocześnie był
wszechludzkim w treści dzieł swoich. Zresztą
kształt z treścią zlewały się u niego, jak się za-
wsze zlewać muszą w malarstwie, w całość jedno-
litą, niepodzielną. W twórczości swej był tragiczny,
jak tragicznem było życie jego. Sylwetkę artysty
i charakter twórczości jego w sztuce skreślił prof.
F. Ruszczyk w przepięknej mowie nad grobem
zmarłego (mowa ta była następnie drukowana
w № 14 „Tygodnika Wileńskiego“ z d. 3 (16)
kwietnia r. 1911).

Litewskie T—wo Artystyczne, którego Czur-
lanis był założycielem i chluba, urządziło na wio-
snę wystawę pośmiertną dzieł jego, dając Wilnu
możność ujrzenia całokształtu twórczości artysty.
Wystawa Czurlanisa była jedną z kapitalnych
czynności Towarzystwa w roku ubiegłym. Oprócz
tego Towarzystwo zbiera fundusz dla wydania
dzieł muzycznych tegoż artysty.

Zasługą Lit. T—wa Artystycznego i czynem
doniosłej wartości artystycznej i kulturalnej jest
wydawnictwo albumu krzyżów litewskich, rozpo-
częte w roku ubiegłym. Krzyże litewskie bogac-
twem motywów zdobnictwa zasługują na wielką
uwagę. Należą one u nas do najpiękniejszych dzieł
sztuki ludowej, a w kształtach poszczególnych
motywów i w zestawieniu takowych steszcza-
ją starożytne przesłanki dziejowe kultury ludu li-
tewskiego od przeżytków pogaństwa i prawdopodobnie
archaicznych tradycji aryjskich oraz wpływów fiń-
skich aż do głębokiej symboliki chrześcijańskiej
i naleciałości kultury bizantyjskiej.

Album krzyżów tych, przerysowanych przez
artystę-malarza p. Jaroszewicza, stanowić będzie
rzecz pierwszorzędnej wagi artystycznej i kultu-
ralnej. Jest to jedno z tych dzieł, które stanowią
trwały dorobek kulturalny. Towarzystwo ofiarowuje
album to na premjum dla członków swych na
r. 1912 i oprócz tego ogłosiło przedpłatę dla wszy-
stkich pragnących je nabyć.

mr.

Listy z Warszawy.

(Skup kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. — Prasa. — Żaloba na-
rodowa. — Teatr i sztuka).

Pierwsze z epokowych wydarzeń, jakie Kró-
lestwo zawdzięcza rządowi „konstytucyjnym“, na-
stąpiło. Kolej Warszawsko-Wiedeńska należy już
do skarbu. Towarzystwo, najpotężniejsze z po-
śród instytucji naszych, przestało istnieć z dn. 14
stycznia 1912 r.

Na parę minut przed północą z dnia 13 na
14 stycznia skromna garstka dzienkarzy udała się
na dworzec kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, aby
pożegnać ostatni pociąg. Pociąg odjechał — i na-
stała nowa era dla instytucji, która liczyła 73 la-
ta owocnego istnienia dla kraju, współdziałającego
skutecznie rozwojowi dobrobytu powszechnego, ży-
wiącego tysiące rodzin.

Od tej chwili zaczęły ukazywać się długim,
konsekwentnym łańcuchem cyrkularze i informa-
cje, ziszczające wszystkie obawy, jakie wzbudziła
już była pierwsza pogłoska o mającym wkrót-
ce nastąpić skupie. Łańcuch ten rozpoczął
się w przeddzień skupu oficjalnym cyrkularzem,
wprowadzającym we wszystkich dziedzinach kolei
język rosyjski.

Prasa warszawska niemal milczeniem przy-
jęła to wydarzenie o skutkach nieobliczalnych dla
życia Królestwa. Bezsilna, wobec warunków gor-
szych, niż za czasów cenzury, zaledwie skromne-
mi wzmiankami zaznaczyła ważny a krytyczny
moment życia naszego. O jakiegokolwiek krytyce
wydarzenia, o jakimkolwiek rzeczowem rozpatrze-
niu nowoutworzonej sytuacji mowy być nie mo-
gło. Ale ze wszystkich rubryk, wzmianek i nota-
tek bije żal głęboki, troska o jutro. Choć trzyma-
ne w tonie powściągliwym — przemawiają one wy-
raźnie, jaskrawo.

Po krótkotrwałej względnej wolności słowa,
znów byliśmy zmuszeni powrócić do czytania
między wierszami i do pisania domyslnikami. Ka-
ry prasowe, procesy i konfiskaty zastąpiły dawną
cenzurę i bodaj czy nie tęsknimy do sytuacji
przedkonstytucyjnej. Nędzny widok przedstawia-
ją dzienniki warszawskie, skrupowane o wiele
bardziej, niż podówczas. Obawa tamuje wszelką
myśl swobodniejszą, która znajduje wnet interpre-
tację specjalną w gronie rybaków kancelaryjnych,
pograżających złowrogą wędkę w notatkach naj-
niewinniejszych, aby wyłowić z nich za jakąbądź
cenę cechy przewinienia państwowego.

Radzi nie radzi dziennikarze powrócili do
starego, wypróbowanego symbolicznego sposobu
pisania, niepewni zawsze, kto ich zrozumie lepiej
i prędzej: czytelnik, czy kancelarja, o wiele po-
jętniejsza od dawnej cenzury. Urzędnicy obecni,
odznaczają się sporym sprytem, co się przejawia
w owym szeregu spraw prasowych, które — zdaje
się — na czas dłuższy utrwalą zastój prasy w Kró-
lestwie.

Domyslnikami też zbyła prasa warszawska
nieszczęsną kwestję „żałoby narodowej“. Kwestja
ta, błaża na pozór, dużo krwi Warszawie napsuła
i w rezultacie, nie znalazłszy rozwiązania w teo-
rii, znalazła je w praktyce. Symbolistka dzien-
nikarska siłła się na przedstawienie argumentów
pro i contra, rezultatem czego było pozostanie
każdego przy swoim zdaniu.

Nie mogło być inaczej.

Zachowanie abstynencji względem głośnych

zabaw publicznych nie jest czynem politycznym. Jako manifestacja, nosi charakter negatywny, co osłabia jej znaczenie. Potrzeba jednak takiej, czy innej manifestacji, wobec szeregu klęsk narodowych, podniecała każdego, kto czuć był zdolny i wyładowania wymagała. Błażość formy wynikała z bezsilności. Można by odpowiedzieć na to, że bezsilność winna skłonić do zaniechania manifestacji groteskowej w społeczeństwie dojrzałym — trudno jednak żądać, aby społeczeństwo przyznało się do bezsilności, nawet wtedy, kiedy jest bezsilne w istocie. Choć więc każdy odczuwał, jak dziecinnie wygląda „żałoba narodowa“, choć każdy widział naiwność tej manifestacji, zbyt silnie odczuwał chęć wypowiedzenia się w takiej bodaj formie.

Były i argumenty poważniejsze i realniejsze. „Żałoba narodowa“ — to ruina dla masy ludzi, żyjących z karnawału i balowania. Pracownicy konfekcji, fryzjerzy i inni ratują słabe interesy kilku tygodniami usilnej pracy, sownie wynagradzanej, a nawet przepłacanej w okresie karnawałowym.

Argumenty te krążyły, groziły i ostrzegały, a jednak rzucone hasło przyjęło się i wszelkie zabawy odwołane zostały. Karnawał, zazwyczaj tak ożywiony w Warszawie, nie istnieje w tym roku wcale i — jak wykazuje większość głosów, przeciwnych idei żałoby, oraz powaga ich argumentacji — nie jest to sztucznie narzuconą manifestacją, ale istotną i odczutaną konsekwencją wydarzeń ostatniej doby.

Długich wieczorów zimowych nie ożywiają skoczne dźwięki. Życie towarzyskie ogranicza się do cichych przyjęć, niezbyt zresztą licznych. O zabawach publicznych mowy niema. Odwołane zostały tradycyjne już zabawy, jak Reduta Prasy, lub Bal Młodej Sztuki.

Zato ożywienie panuje w teatrach i na koncertach, które ściągają tłumy, świadomie pozbawione zwykłych uciech karnawałowych. Prowincjonalna obojętność Warszawy względem sztuki, przewyciężona została nareszcie i to przypadkowe zbliżenie się do źródeł wrażeń estetycznych wydać może owoce pożądane.

Zarzut powyższy zadziwić może tych, którzy w charakterze gości do Warszawy przybywają i spotykają się tu na każdym kroku z rozmową o teatrze i o sprawach teatralnych. Powszechna ta teatromanja nie ma jednak wspólnego z głębszym zainteresowaniem dla sztuki. Nieco snobizmu i dużo ciekawości — oto jedyne podstawy estetyczne Warszawy. Nieliczne teatry warszawskie dają od szeregu lat deficyt i wątpliwym jest, czy przy mniej nawet typowej rządowej gospodarce byłoby inaczej. Niesłuszny byłby zarzut, że publiczność warszawska ma wymagania zbyt małe i że repertuar staranniej dobierany, odstręcza ją. Dowodem jest fakt, że najnowsze przybytki widowiskowe również publiczności nie przyciągają, o ile zgodzimy się, że garnizonu i komiwojażerów prowincjonalnych do publiczności zaliczać nie będziemy.

Powiedziałbym raczej, że publiczność warszawska nie ma żadnych wymagań, ani żadnych upodobań w kierunku sztuki. Panuje kompletne niewyrobienie pod tym względem, któremu zaradzić mogą tylko artyści sami sumienną i systematyczną pracą. O takiej pracy mowy narazie niema.

Malarze, muzycy, literaci nawet — emigrują stale do krain wdzięczniejszych. Uważają oni, że Warszawa nie jest polem, odpowiednim dla ich

twórczości, pomijając całkowicie wdzięczną rolę uczynienia Warszawy polem takim. Opuszczone przez ludzi, którzyby mogli tyle dlań uczynić, miasto zatracza ambicje i wymagania estetyczne, co się przenosi i na teatr, który teżby chętnie wyemigrował, żeby to było możliwe technicznie! Nie mogąc tego uczynić, opuścił ręce. Pokolenie Żółkowskich wymarło, młode pokolenie nie umie tamtego zastąpić, repertuar jest dorywczy, obojętny, rezultaty artystyczne — żadne.

W ostatnich dopiero czasach zaczyna się jakby coś poprawiać. Z kilku stron słychać o nowych, mających niebawem powstać teatrach prywatnych. Kierownicy ich mają już pewne wymagania, oparte na ruchu estetycznym, który pod wpływem kilku jednostek wybitnych ogarnął cały Zachód. Należy mieć nadzieję, że nie zrzekną się oni swych ambicji. Ułatwiać im będzie wytrwanie na stanowiskach ważna okoliczność, że kampanję prowadzić będą nie z oporem i nie ze wstecznictwem, ale z obojętnością, a raczej ze zobojętnieniem, jakie nastąpiło po okresie wielkiej twórczości i wielkiej odtwórczości.

Walka z obojętnością i ze zobojętnieniem — to jest zresztą hasło do wszelkiej pracy i na każdym polu życia publicznego Warszawy. Tryumfalne zakończenie tej walki — będzie dopiero początkiem odrodzenia życia naszego miasta.

P. M.

ROMUALD MINKIEWICZ.

Słowa zatrważająco szczerze.

VI. Błogostawieni śpiący, albowiem... się wyśpią.

Nie dziwi mię to zgoła, że doszedłszy — z mniejszym lub większym mozołem — do jakiejś takiej teorii, własnej czy przyswojonej tylko, naukowej lub artystycznej, społecznej czy filozoficznej, ludziska układają się na niej, ni to na miękkiej pierzynie do snu sprawiedliwego, dbając już o to jedynie, by nic im snu tego nie przerywało, zatykając uszy na wszelkie głosy życia i czyniąc poruszenia chyba po to tylko, by zdzielić słowem lub kopnąć nogą tego, kto by się ważył pierzynę ich przetrząsać i „zasłużony“ ich spokój zakłócać.

Nie dziwi mię to, powiadam, boć tak to wygodne, zwłaszcza, o ile spanie związane jest z „powszechnem“ uznaniem i mniej lub więcej intratnem stanowiskiem.

Wszelako powiadam wam, drodzy moi, miarą głębi człowieka i jego szacunku do siebie, i miarą ukochania przezeń wiedzy czy sztuki, społeczeństwa czy duszy człowieczej, jest właśnie *niezasypianie nigdy*, wieczyste czuwanie nad wielodźwięcznymi i zmienno-barwnymi falami *nieusypiającej nigdy rzeki życia*.

VII. Kramik z przeciwka.

Śmieszne, tak! śmieszne niekiedy, lecz częściej potwornie głupie, złością zaślepione i nad wyraz szkodliwe jest to ciągle przykładanie *dwóch miar do oceny tej samej rzeczy* (postępku, czynu, myśli, programu, zamiaru), w zależności od tego, czy wyszła ona z „naszego“ obozu (partji, stronnictwa, odłamu, klubu, koła, towarzystwa), czy też z obozu „przeciwnika“.

I nieraz — ach! zbyt często — bywa tak, że czyn, propagowany zawzięcie wczoraj jeszcze, dziś niemniej zawzięcie jest wyklinany, dlatego tylko, że podjął go „przeciwnik“. Bowiem to, co czyni, myśli i mówi „przeciwnik“, musi być złe! Musi, więc jest.

Sprzecznosc ze soba? ogłupianie towarzyszy? ludu? wtrącanie umysłów w rozdroża bez wyjścia? w ciemność rozpacz? zmarnowanie pracy lat wielu? zaguba sprawy ostateczna?... furda to wszystko!

Niech, ino zginie kramik z przeciwnika!

Próbowałem w Bretanji uspołeczniać chłopów bretońskich. Była mowa o wspólnych, społecznych pastwiskach.

— „Więc mówi pan, że krowka moja mogłaby chodzić i na pastwisko Penarwila?“

— „Ależ naturalnie, ojczcie Kerestot! nie tylko na Penarwila, ale na wszystkie pastwiska tej wioski.“

— „Tak?... to byłoby dobre.... to byłoby bardzo dobre...“

Po dłuższej chwili ciężkiego, iście bretońskiego namysłu:

— „Czekajże pan!.. tak... a jego krowa... tego... no! tego Penarwila przychodziłaby na moje?...“

— „No, naturalnie!“

— „Co?? Krowa tego łajdaka?... na moje?... na mojej? A! co to, to nie!.. Jego krówsko na mojej! Nie! co to, to już *merci alors!* słyszane rzeczy.

Alto to złodziejstwo!!

Kpiny pan stroi? czy co? Nie! dziękuję panui Krowa tego łajdaka?... cha, cha, cha...“

Tableau, nieprawdaz?

Alisci porównajcie...

VIII. Arytmetyka społeczna.

Mówią — i jest to pono uznane i patentowane, — że pewniki matematyczne mają wartość absolutną i, co zatem, powszechne zastosowanie. A jednak... $0+0+0+0+0+...=0$.

Tysiąc zer, milion zer w matematyce zawsze równa się zeru. To zawsze tylko zero.

Ale to w matematyce! W życiu zaś społecznym, to wielkość ogromna i potężna. To „opinia“, to „my — społeczeństwo“, „my — ludzie z towarzystwa“, to „czynniki miarodajne“, to „zwarta, szanująca się, zdrowa większość“, to „my — Naród“, to „cały świat“. Atoli jest moment, w obliczu którego i milion zer społecznych równa się zeru. Co lepsza, *usna*, że równa się zeru! *Głosi*, sam o sobie, iż jest zerem, tylko zerem!

Moment ten — to wielki, ofiarny, zbiorowy *Czyn*.

IX. Jaknajmniej trupa w człowieku!

— „Nie bądźże dzieckiem: toć zupełnie nieży-cioiwel!“ — mówi się ustawicznie do tego, kto swój szlachetny idealizm w życiu chciałby widzieć przejawionym. Bowiem nikczemność tak jest powszechna i tak chętnie, tak nawet skwapliwie ludzie z nią się godzą, że wszystko, co przeciwko niej się burzy, wola zgóry uznać za „nieżycioiwel“ i „dziecinne“.

A ja wam mówię, bracia w ideale! że tacy, jacy dziś jesteście — idealni i szlachetni — jesteście wytworem i przejawem życia, i wszystko, co w was jest idealnego, życiowe jest, boć jest z życia i dla życia jest przeznaczane.

Nie zadawajcie tedy śmierci temu, co w was jest żywe; byście jaknajmniej trupa w sobie nosili!

X.

Fałszem jest, dogadzającym słabości ludzkiej i bezwoli, że „świat“ (względnie życie) psuje człowieka.

Nie! to człowiek sam psuje i zatracca siebie dla łatwiejszego życia i pożycia ze światem. Miast tworzyć życie i świat przetwarzać!

Paryż.

MECH.

(Bajka).

Pan kazał.

Na rozkaz pana —

Gdzie dotąd drzemał las, dziaduch brodaty,

Rozjaśniła się polana;

A pilny sługa, stary mistrz Jacenty,

Wyczarował tu ogród, jak z baśni poczęty.

Niby motyle barwne, wyroiły kwiaty:

Jedne ścielą z purpury i złota dywany,

Inne się po szmaragdzie gazonów rozbiegły,

Tu lilji biel się smukli, tam złocień zezochrany,

Owdzie stroi kulfony storczyk niepodległy...

Gdzie ongi biło źródło, dziś fontanna lśni się

I białe alabaster wód kryształem tryska.

Miasto jamy, co kryła legowisko rysie —

Teraz grota, stalakyt i sztuczne urwiska...

Kędy spojrzeć, tryumfy pracy mistrza Jacka.

Ale sam Jacek nie wie, co tryumfu radość:

Termin oględzin pańskich zaszedł go znieńcka,

Gdy nie wszystkim uczynił planom dzieła zadość.

Bo dotąd w głębi parku jest taki kąć jeszcze,

Do którego nie dotarł rydel, ni siekiera.

Na myśl, że pan tu zajrzy, Jacek czuje dreszcze,

Strach go rozbiera.

Magnat przybył, wypoczął i do parku kroczy.

Ogrodnik drepee obok, zagląda mu w oczy;

Czasem na śmiałość weźmie, rzuci jakieś słówko,

Ale graf ni pochwałą na to, ni wymówką.

Już są w końcu ogrodu. Pan, jak milczał, milezy.

Wtem stanęli... A to co?... Kąć, istny jar wilezy.

Zmieszal się tak Jacenty, że nie zliczy trzech;

Oczy spuścił ze wstydu, patrzy... wkoło mech,

Kudłaty mech...

Grubo oszubił ziemię i, niezem sprężyna,

Ledwo się trochę pod stopą ugina.

A gdy sługa skruszony oczekuje kary,

Nakoniec raczył przemówić feudal,

— O, to to bardzo ładne! Toś ty mistrz mój stary.

Hm, wiesz? Najlepiej ten mech ci się udał.

Benedykt Hertz.

Z mego notatnika.

Funkcje starszego rejenta.

„Przeгляд Wileński“ wywołał wielkie zaciekawienie w miejscowej prasie rosyjskiej. „Wil. Wiestnik“ poświęcił naszemu piśmie dwa artykuły wstępne, w których poddał szczegółowej ana-

lizie rozważanie nasze na temat „Być, czy nie być“.

Półurzędowcowi wileńskiemu nie podobała się zwłaszcza ta okoliczność, że pominęliśmy milczeniem kwestję stosunku do państwa. „Kierownicy pisma—pisze „Wil. Wiestnik“—przemawiają w takim duchu i tonie, że można pojmować przewidywaną umowę społeczeństwa polskiego z litwinami i białorusinami (modus vivendi) jako umowę bez sankcji starszego rejenta—państwa rosyjskiego. Instancja ta zaś nie jest o tyle podrzędna, aby ani słówkiem o nią nie potrącić“.

Przydzie kolej i na tę kwestję, która tak bardzo interesuje „Wil. Wiestnik“. W sprawie zaś umowy prywatnej z litwinami i białorusinami, istotnie nie mamy zamiaru zasięgać opinii starszego rejenta. Obowiązkiem tego funkcjonariusza jest zatwierdzenie każdego aktu, o ile ten nie sprzeciwia się istniejącym przepisom prawnym. Państwo uważa za szkodliwe podburzanie jednej części ludności przeciw drugiej, co jest przewidziane w art. 125 kod. krym., ale zgodne z życiem narodowości nietylko nie jest dążeniem potępianem przez prawo, lecz przeciwnie z punktu widzenia interesów państwowych nader pożądanem.

Starszy rejent więc nie ma żadnej podstawy do odmówienia swej sankcji takiej umowie, którą zawierają między sobą polacy i litwini lub białorusini, nie wchodząc w kolizję z obowiązującym ustawodawstwem. Dla tych to względów nie uważaliśmy za potrzebne przy omawianiu sprawy zasadniczej poruszać kwestji formalnych.

Tak też prawdopodobnie zrozumiała nasze stanowisko „Siew. Zap. Żiźń“, gdyż nie zauważyła w naszym artykule dyplomatycznych niedomówień, przeciwnie podkreśliła jego szczerość. Bo i nie mamy nic do ukrywania. Zaznaczyliśmy wyraźnie, że uznajemy naród białoruski i jego prawa do samodzielnego rozwoju. P. Sołowiecz dopatruje się wszędzie tendencji polonizatorskich, więc go nasze wyznaczenie wprawiło w zdumienie. Dlaczego? W społeczeństwie polskim obóz nacjonalistyczny jest o wiele mniej liczny, niż w rosyjskim. I gdyby „Wil. Wiestnik“ chciał zawsze skrupulatnie spełniać rolę starszego rejenta, protestować by winien był niejednokrotnie przeciwko zawieraniu kontraktów „Siew. Zap. Żiźni“ z szowinistami litewskimi chociażby.

Ale starszy rejent nie odznacza się, niestety, bezstronnością.

Szablon.

Zdając relację w „Kurjerze Litewskim“ z artykułu wstępnego w № 1 „Przeгляdu Wileńskiego“ p. J. Hł. zalicza większość inteligencji postępowej w naszym kraju do „filozofujących snobów“. Jest to nader łatwe rozwiązanie złożonej kwestji. Ochrzcić mianem snobizmu drażliwość sumienia, chociażby przeczuloną, i dopatrzeć się w psychice, mającej podłoże wysoce powikłanych stosunków narodowościowo-społecznych, jedynie rysów egoizmu i indferentyzmu społecznego, może tylko publicysta, przyzwyczajony do szablonowego traktowania wszelkich zagadnień, zgodnie z przyjętymi dogmatycznie formułkami.

Gdzieindziej podobna metoda może mieć zastosowanie poniekąd słuszne. Tam szczególnie, gdzie społeczeństwo uległo wyraźnemu różniczkowaniu się i kroczy po drodze rozwojowej pewnie

i bez wahań. Tam, gdzie ścierają się prądy, jasno określone, reprezentujące dążenia mniej lub więcej skrytykowane i nie budzące żadnych wątpliwości. Tam, słowem, gdzie myśl krytyczna zbadała dokładnie wszystkie niemal dziedziny życia i uporządkowała jako tako układ wzajemnych stosunków w społeczeństwie, kraju, państwie.

Na naszym gruncie—dziewiczym jeszcze, nie przeorany a mocno zachwaszczonym, publicystyka ma o wiele trudniejsze zadania i nie może poprzestać na forsowaniu pewnych utartych poglądów zależnie od środowiska, w którym działać jej sędzono. Wpierw należy poddać wyczerpującej analizie warunki bytu oraz perspektywy przyszłości. Ten wzgląd dyktować powinien prasie naszej ostrożność w pośpiesznym uogólnianiu i wstrzymać ją od płytkiego sądu.

Najszkodliwszą robotą endecji było nie tyle propagowanie hasel zaborczego nacjonalizmu, przyjmowanych u nas przeważnie obojętnie, ile zaszczepienie społeczeństwu szablonowego światopoglądu, który jest największym wrogiem postępu.

Operowanie frazesami zapewne wprowadzi popularność, ale nie wyjaśnia ani o włos treści.

Licz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY

Wł. Reymont. „Wampir“. Powieść, 1911. Warszawa.

Jest to świat widzeń nadprzyrodzonych, zjawisk medjumicznych, astralnych, rozdwojeń, wielokrotności dusz i ciał ludzi pojedynczych. Jest tam rojowisko marzycieli, szukających samych siebie, swego niezgłębionego „ja“, a znajdujących trwogi i rozpacze wśród londyńskich seansowych komnat i poza niemi. Do Londynu zabiła się induska Daisa z ułaskawioną panterą Bagh i indus Mahatma, ciskający w dyskusji z profesorami pioryny potępiania na zmaterjalizowaną starą Europę, on, syn stokroć starszej indyjskiej kultury.

Postacią główną jest polak Zenon, kochający młodą sympatyczną angielską Betsy i przez nią kochany, a wałęsający się jednocześnie po tajemniczych kryjówkach zwodniczej duszy Daisy-pantery... Przyjaciel Zenona, Anglik Joe, oddany jest spirytyzmowi z takim fanatyzmem i namiętnością, że w końcu dostaje obłądu, a bliskim tego stanu jest również Zenon.

Wampirem jest owa Daisa, owa drapieżna syrena, kuszająca Zenona całym aparatem wdzięków, złudzeń i uroku. Interesuje ona istotnie. Jej liczne sceny uwodzenia i niemiłosiernego igrania ze swą zaślepioną ofiarą, tem łatwiej jej się udają, że natrafiła na jednostki, silnie zdenerwowane i przewrażliwione. Wszystkie te, zawarte w powieści nadzwyczajności czynią wrażenie nie tyle zjawisk spirytystycznych, ile raczej subiektywnych widzeń chorych halucynatorów. Autor nie kielzna twórczej fantazji i nadmiarem scen do siebie podobnych monotonizuje opowieść. I temu nawet zapobiec nie może sprowadzona z Polski dla urozmaicenia całości, rodzina pani Ady, ani realny, choć w kompozycji zaniedbany epizod miłosny między Zenonem a wspomnianą, argiejką Betsy.

Pomimo całej swej fantastyczności, „Wampir“ przykuwa uwagę czytelnika. Książkę czyta się z wielkim zajęciem. Z każdej bowiem stroni-

cy przegląda lwi pazur wielkiego artysty. Piękny język oślniewa swą plastyką.

Jan Lorentowicz. *Nasza Francja literacka*. Portrety i wrażenia. Wyd. Wł. Okręta r. 1911, str. 560.

W dziele tem p. Lorentowicz przygląda się postaciom siedemnastu prozaików francuskich, przeważnie nieznanymi czytelnikowi polskiemu, „Ci, o których mówimy — powiada autor — albo zbyt usunęli się od żądań zawodowej krytyki, więc nie szukali powodzenia, albo też wytrwali mniej lub więcej długo w samotności swych dążeń“.

Książka sprawia wrażenie dużych rozmiarów obrazu, ukazującego liczną grupę twórców, zdolnych do pięknych „giestów“.

A jednak żaden z nich nie dał i zdaje się nie da szeregu dzieł, szeregu wspaniałej, artystycznej konstrukcji kolumn i stropów, od którychby szły ku nam moce nowych wielkich światopoglądów. Wprawdzie tych im bynajmniej nie brak; ale są to niejako sposobności do stworzenia niezmiernie pięknych i zajmujących, lecz pojedynczych stron i momentów ludzkiej psychologii.

Do licznych obserwacji Lorentowicza pragnę dodać jedną. Cechą fundamentalną artyzmu młodej Francji jest wyjątkowość psychologii ich bohaterów. W tych ludziach czyni się ferment ciągłego autorozmysłu, pragnień i dążeń. Są to istoty o poglądach szczególnych, ale nie powszechnych, eksperymenty, autopsje, wykonywane na duszy naszej. Psychiki podobne w świecie ludzkim się zdarzają; lecz ludzkiej rasy nie stanowią, są to wreszcie przejściowe chwile w naszym życiu, ale nie stanowią naszej całości, to ludzie możliwi, ale nie istotni, ogólni, w głębszem znaczeniu tego pojęcia.

Stosuję miarę tę nawet do tak wielkiego talentu pisarza, jak Karol Gide (Imoralista, Powrót syna marnotrawnego, Ciasna Brama). Wszystko to walki instynktów wrodzonych z kulturą i nawiązaniem społecznym, a jako właśnie w życiu wyjątkowe, tracą nieraz bardzo pięknem dziwactwem i dlatego nie obejmują całej naszej ciekawości.

Każdy z nich ma właściwie tylko jeden rys a przeciw każdego człowieka stanowią powikłania rysów. Jest w tem jakieś niedopatrzanie twórcze, jakby ci artyści nie przyglądali się twarzy życia wprost, a czynili to przez skapo odchyłone drzwi, wreszcie tylko z profilu lub nawet *en dos*. Wprawdzie tworzył tak samo Emil Zola, i jego postacie, mimo bujnego społecznego podłoża, to figury przeważnie jednostronne, ale rysy ich charakterystyczne przynajmniej posiadają znamię ogólne, nie wyjątkowe, więc bardziej do nas zbliżone i dlatego mogą być przez nas odczuwane.

Wyczepujące studjum p. Lorentowicza daje dokładne pojęcie o najnowszych prądach literackich we Francji i z tego względu zasługuje na szerokie rozpowszechnienie wśród społeczeństwa polskiego, naogół obcującego rzadko ze społeczną literaturą europejską.

D. Zgl.

PRASA POLSKA.

— Kwestja żydowska w Królestwie Polskiem coraz bardziej się zaostrza. Z jednej strony nacjonalisci żydowscy namiętnie atakują asymilatorów, przezywając ich „parobkami endeków“, z drugiej zaś strony usuwa im grunt z pod nóg wzrastający

prąd antysemityczny w społeczeństwie polskiem, a przy najmniej w pewnej jego części. Niechęć względem żydów-litwaków zwracać się poczyna ku żydom wogóle, nawet zasymilowanym i spolszczonym. Antysemityzm na gruncie narodowościowym przybiera charakter rasowy, wzorowany na ideologii Puriszkiewicza i Dubrowina. Szczególniejszą gorliwość pod tym względem objawia klika p. Dmowskiego, zbankrutowana moralnie i szukająca rozpaczliwie jakiegos punktu oparcia i uzasadnienia swego istnienia.

Oto próbka charakterystyczna. W „Głosie Warszawskim“ ukazał się artykuł p. St. Pieńkowskiego p. t. „Pod maską“, polemizujący z „Kulturą Polską“ A. Świętochowskiego, z powodu następującego jej zdania:

„Głosimy to oddawna, że kto miłuje naszą ziemię i nasz naród, kto bierze żywy i czynny udział w jego pracach, dążeniach, smutkach, radościach i nadziejach, ten jest jego synem bez względu na to, jak jest zapisany w cyrkule. Właściwy zatem spór redukuje się do t. zw. „litwaków“.

Autor ma na kwestję żydowską zapatrywania zgoła odmienne, — a mianowicie oświadcza:

„Nie mogę ani na chwilę przypuścić, ażeby ludzie z takimi tradycjami kultury i ściśłości myślenia, jakie im okres naszego pozytywizmu przekazał, mogli tak płytko rozwiązywać najgłębsze pytania naukowe o rasie, narodowości i żydach. Sądzę, że tylko jeszcze brak odwagi w stosunku do własnych swoich haseł niedawnych, tylko jeszcze chwiejność, nieprzemysłenie do gruntu i niesharmonizowanie mądrości swej z rozumem, każe im lepszą połowę swego ducha ukrywać pod maską.

Pod maską kryje się istotnie ich rozumienie narodowości, jako duszy gromadnej, która tylko w pewnych granicach właściwości psycho-fizjologicznych objawia się i jako naród żyje.

Pod maską kryje się istotnie ich rozumienie żydów, jako żywiołu zasadniczo obcego i wrogiego nie tylko polakom, ale całej grupie aryjskich narodów europejskich.

Pod maską kryje się odruch ich instynktów, które wstrząsają się przy zetknięciu się z duszą semicką tak samo, jak dusza żyda wstrząsa się przy zetknięciu się z duszą aryjską.

Pod maską kryje się istotne ich rozumienie, że jeśli można pod naciskiem zlej konieczności znaleźć społeczny *modus vivendi* dla polaków i żydów, to duchowego, a więc krwią bliskiego, narodowego sposobu współżycia znaleźć nie można.

Pod maską kryje się istotne ich rozumienie, że wprawdzie każdy arja spolszczyć się może w drugim już pokoleniu i krwią z nami niemal bez reszty pomieszać, ale że tak daleka krew, jak semicka ciągle odzywać się będzie i nawet w małym procentie już pewne dla nas przedstawia niebezpieczeństwo.

Pod maską wreszcie kryje się istotne ich rozumienie, że co jest możliwe w tysięcznym ułamku odsetki, to staje się potwornością i grobem dla narodu przy kilkamiljonowym mnóstwie, któreby w myśl „Kultury Polskiej“ zechebiało być „synami narodu“, dwadzieścia milionów głów liczącego!“

I wreszcie najciekawszy wniosek:

„Żydzi powinni wiedzieć, że w dziejach ich niezwykłych, po dość długim tu w Polsce wypoczynku, na wielkim zegarze życia zaczyna bić nowa dla nich godzina, godzina nowego tulactwa, nowych prób i poszukiwań. Cokolwiek ich czeka — ich to rzecz i ich to los. My, swoje mając i wielkie przeznaczenie, żadnych ciężarów cudzych brać nie będziemy, a i te, które nam młodość nasza przekazała — zrzucimy“.

Jakaż różnica pomiędzy poglądami p. Pieńkowskiego a „czarnej sotni“ rosyjskiej? Chyba ta tylko, że prawicowcy rosyjscy swą groźbę pogromu mogą z łatwością w czyn zamienić, a reakcyjniści polscy muszą poprzestać na wygrażaniu papierowem...

— Jak wiadomo, w wyborach do parlamentu niemieckiego polacy ponieśli dotkliwą porażkę. Pięć lat temu polacy zdobyli odrazu 19 mandatów,

w pięciu zaś przystępowali do wyborów ściślejszych. W tym roku otrzymali 15 krzesel, a w 10 stają do wyborów ściślejszych. Wybory w zaborze pruskim mają raczej znaczenie przeglądu, zmierzania sił. Ważniejszym jest, ilu wyborców stanie przy urnie, niż ilu pojedzie do Berlina. W tem oświeceniu rezultat wyborów jest klęską.

„Dziennik Poznański“ nie może zrozumieć, gdzie szukać właściwych przyczyn tej „niespodziewanej porażki“. Odpowiedzi udziela mu p. J. Tarczewski w „Prawdzie“.

„Bez względu na to, przypominająca wprost pańszczyzniane czasy, z jaką traktowano najistotniejsze interesa śląskiego robotnika, a którego potraktowano, jak istne bydo wyborcze, musiała wyczerpać barania cierpliwości najpotulniejszego w świecie polskiego ludu. Naprzód wybierał posłów polskich, których Koło nie śmiało przyjąć do swego grona, aby nie obrazić katolickiego centrum. Potem przelamano lekliwość i z wielkim tryumfem wprowadzono do slawetnego Koła slawetnego Korfantego. Lud, wytresowany do bronienia go wszelkimi siłami przeciw polskiemu socjalistom, przeciw katolikom, czyli zwolennikom Napieralskiego, dowiedział się w końcu, że między panem Napieralskim a panem Korfantym stanęła umowa, mocą której wyborcy stają się ich wspólną własnością. Nie dość na tem, mandatarjusze górno-śląskich górników i hutników uznali za rzecz właściwą głosować za reformą finansów, zwałając cały ciężar podatkowy na barki szerokich mas i za utrzymaniem lichwy zbożowej, w momencie, kiedy drożyzna artykułów spożywczych stała się klęską publiczną. I nie na tem koniec jeszcze: posłano do jednego z najpewniejszych swych okręgów śląskich takiego zdecydowanego, jawnego agrarjusza, jak hr. Mielżyński, aby mu jaknajbardziej ułatwić wstęp na trybunę, z której znowu wolać będzie o protegowanie junkierskich kieszeni kosztem robotniczych żołądków. Interes narodowy wymaga rzekomo ofiar tylko ze strony tych, którzy nie już do ofiarowania mieć nie mogą, gdyż dają nad możność... Interes narodowy pozwala się wahać, czy nie należałoby w jednym z okręgów poznańskich rzec się własnego kandydata przy pierwszych wyborach, a dopomóż do wyboru dobrego katolika, hr. Oppersdorfa—mimo, że dobrzy katolicy wszędzie z dobrymi protestantami i doskonałymi hakatystami idą ręką w rękę dla zwalczania polskich kandydatów i że arcykatolicki biskup chełmiński, usuwa wszystkich księży polskich z kas oszczędności i spółek zarobkowych, nie tykając niemieckich proboszczów, zajmujących analogiczne placówki“.

Reakcja w Mińsku.

Dokonywający się, a w znacznej mierze dokonany już rozłam w łonie miejscowych sfer reakcyjnych (rosyjskich naturalnie), zwraca uwagę ogółu na to miasto, w którym agitacja czarnosecinowa, szczególnie wrogo usposobiona przeciwko polakom i żydom, uwiła sobie obszerne i silne gniazdo.

Jako środowisko całej uplanowanej akcji antypolskiej, Mińsk zajmuje na Litwie i Białej Rusi miejsce mniej więcej takie same, jak Poczajów dla Wołynia, Podola i Ukrainy.

I w tej roli centralnego punktu, rodzaju kuźni, w której majstrowie, nieraz bardzo porządnie nawet, kuli antynorodcze projekty i obmyślali prawa wyjątkowe, Mińsk przez nasze społeczeństwo był niedocenionym, — ba, — lekceważonym nawet!

Już zaraz prawie po powstaniu a szczególnie w 8 i 9-ym dziesiątkach zeszłego stulecia, w Mińsku i Mińszczyźnie najsrożej wrzała walka religijna, w której osławiony Sęczykowski odznaczył się jako szczególny przesładowca wszystkiego co polskie i katolickie, a zastęp jego współpracowników

w rodzaju Jurgiewiczów, Eisenbletterów, Markiewiczów etc., zalał całą ziemię mińską, dla której zdawało się, nie było już żadnego ratunku...

Wówczas już Mińszczyzna była zarazem rodzajem stacji doświadczalnej dla całej Litwy i Białej Rusi! Co się tu udawało—wprowadzono gdzie indziej—stąd usiłowano przesadzać księży rytualistów do innych djecezi.

Z chwilą zniesienia cenzuru i rozwinięcia się w Mińsku prasy liberalnej („Siewiero-Zapadnyj Kraj“), powstał „Biełoruskij Wiestnik“, redagowany przez mocno nieudolnego reakcjonistę, niezującego dziś nauczyciela gimnazjum Smorodzkiego. W tem piśmie po raz pierwszy dał się poznać słynny Schmidt, sprowadzony tu przez pseudo-liberalnego gubernatora Musin-Puszkina, na skromne stanowisko urzędnicze.

Bezpośrednio po upadku „Biełoruskawo Wiestnika“, w początku 1906 roku powstała „Minskaja Riecz“, w której Schmidt już poważniejszą odgrywa rolę i grupuje wszystkich niezadowolonych z przewidywanych reform. Opieki (a podobno i zapomogi finansowej) udziela archirej i wypływają na wierzch nazwiska „działaczy“, w rodzaju duch. Uspieńskiego, propagującego w kazaniach swych najzjadlejszą nienawiść wyznaniową, obrońcy prywatnego i byłego uradnika Czygirowa, dyrektora Banku Państwa Bielajewa, nauczyciela francuskiego języka w gimn. męskim Pawłowicza, d-ra Zdanowicza etc., etc.

Wybory do I-ej Izby...

Polacy tworzą blok z żydami i wybierają 7 polaków i 1 żyda, to znaczy, że oprócz obowiązkowego włościanina, nie oddali ani jednego mandatu włościanom lub rosjaninowi...

Owe wystąpienie do I-ej Izby samych polaków i żyda, dało „Minskij Riecz“ (która zamieniła się wkrótce na „Minskoje Słowo“), temat do antypolskich i antyżydowskich harców, aż do chwili obecnej..

„Ni jednego krsześta! — Ni piadi ziemi“ — przedrzeźniało „Minsk. Słowo“ niewypowiedziane zresztą nigdy przez żadnego polaka zdania, mające dowodzić zasadniczej jakoby naszej nienawiści przeciwko wszystkiemu co rosyjskie, przyczem, dla „uproszczenia“, pod tem ostatniem mianem rozumieć należy najbardziej rdzennych białorusinów...

Od rozwiązania I-ej Izby wzrastają w siłę mińscy reakcyjniści, przy pomocy rozmaitych sposobów, dla nas niedostępnych, zwyciężają przy wyborach do II-ej Izby — trzeciemi zaś wyborami zawładają już na zasadzie odpowiednich cyrkularzy i przepisów...

Początkowo pod nazwą „październikowców“, reakcyjniści mińscy uprawiają stale i niezmiennie najskrajniejszą politykę puryszkiewiczowską, krzykliwą, kłamliwą, oszczerczą—ale energiczną i przy zupełnym braku etycznych pierwiastków konsekwentną.

Na czele tej falangi staje człowiek niepospolitego rozumu i siły—Schmidt. Pomimo, że był pozbawiony praw za zdradę Rosji, umiał zgrupować i poprowadzić ludzi, rzekomo stojących na gruncie monarchicznym i patrijotycznym rosyjskim. Umiał wyrobić sobie stosunki w Petersburgu tak silne, że „Minsk. Słowa“ zaczynają się obawiać wszyscy, że przed jego denuncjacją drżą tacy nawet, którzy formalnie mieliby prawo pismo to zawiesić.

Dość powiedzieć, że kiedy na 3 dni przed

wyborami do III-ej Izby, komisja gubernjalna odebrała Schmidtowi prawo uczestnictwa (jako pozabawionemu praw), ten 80-letni blisko starzec jedzie do Petersburga, w ciągu jednego dnia doprowadza do sesji senatu i z przywróconem prawem staje do urny wyborczej i wychodzi z niej jako poseł!..

Przy całej odrazie jaką musiał człowiek ten wzbudzać w każdym, można jednak było podziwiać tę szaloną niespożytą energję i siłę! Wszakże po wypędzeniu go z Izby poselskiej, zjawia się w Mińsku, gdzie chłopcy na ulicach go zaczepiają, gdzie wszędzie naokoło słyszy obelgi i zaczepki, i... wytrzymuje to wszystko! Wytrzymał również podanie radnych miejskich o wykluczenie go z rady, dokąd się wcisnął, on, protestant, jako przedstawiciel duchowieństwa prawosławnego!

Mści się tylko, denuncjując wszystkich i wszystko, doprowadzając całą reakcję tutejszą do najdalej idącego absurdu...

„Minsk. Słowo“ stanęło na stopie organu bardziej bodaj dla naszych spraw wpływowego, aniżeli „Nowoje Wremie“...

Największe głupstwo, najoczywistsza potwarz były przedrukowywane przez dziesiątki innych gazet tegoż pokroju, a bywało, że i inne, umiarkowane pisma — od nich zaś nawet nieco opozycyjne przyjmowały wiadomości, których pewna ilość składała się na urobienie najfałszywszej w świecie o nas i o naszych stosunkach opinii.

Tworzono historję i dostarczano jej „dokumentów“. Z trybuny parlamentarnej padały co chwila cytaty i „fakty“, żywcem z „Minsk. Słowa“ przytaczane.

Po śmierci Schmidta, siłą bezwładności stanowisko „Minsk. Słowa“ utrzymało się czas jakiś, aż dopóki nie stanął tam na czele niejaki p. Skrynczenko, człowiek bez żadnych literalnie zdolności, a chcący jednak dorównać swemu poprzednikowi.

Z tej widocznej słabości skorzystali inni, oto wychodzi teraz w Mińsku drugie pismo prawicowe, p. t. „Minskija Wiedomosti“, które od 5 miesięcy wydawane było jako tygodnik. Należy przypuścić, że „Minsk. Słowo“ upadnie, zwłaszcza jeśli, jak chodzą pogłoski, cofnięto mu subsydjum w ilości rb. 16,000. W takim razie utrzymałaby się przy sterze opinii reakcyjnej partja „biurokracyjna“, która stoi obecnie w opozycji do „archirejskiej“, reprezentowanej po dawnemu przez „Minsk. Słowo“.

Ten fakt wszakże, kto się utrzyma — kto zginie, dla nas jest stanowczo drugorzędnym. Szkody, jakie nam dotychczasowa działalność tutejszych czarnych secin zrobiła, sięgają daleko poza obręb gubernji i prawdopodobnie nie prędko zostaną naprawione. Mińsk zapewne na długo jeszcze zostanie tym wyjątkowym w państwie całym punktem, gdzie wbrew istniejącym prawom, samowolnie karane są polskie szyldy i napisy, gdzie polskim instytucjom nie wolno po polsku napisać zaproszenia lub zawiadomienia, gdzie w szkołach pomimo podań rodziców, nie wykłada no języka polskiego, — gdzie słowem obowiązują jakieś lokalne, w żadnym kodeksie nie przepisane prawa.

W.

Korespondencje.

Mińsk.

Rady ziemskie powiatowe pokończyły swe pierwsze posiedzenia, na których przystąpiono do pracy gospodarczej. Poprzednie bowiem, jako wyznaczone prawie wyłącznie w celach organizacyjnych, nosiły charakter zupełnie specjalny, przy czem prawa zasadnicze, t. j. dobro gospodarki miejscowej zdawały się usuwać na plan dalszy wobec pytania, kto jest prawomyślny — kto zaś nie — do jakiego wyznania należy dany kandydat i t. d.

Rezultat tedy wyborów do zarządów i komisji był naogół biorąc, bardzo mizerny, bo zresztą, i większość radnych do [luminarzy nie należała. Skoro zaś tym ludziom wypadło zetknąć się bezpośrednio z pracą, — najlepsi napłodzili moc teoretycznych projektów, nie z praktyką nie mających wspólnego.

Rysowi dotychczasowego postępowania rad i zarządów ziemskich w ziemi mińskiej, poświęcimy wkrótce obszerniejszy artykuł, co zwłaszcza jest nieodzownem wobec pewnych niespodzianek, jakie daje samorząd ziemski, powołany do życia przez „lex Stolypin“.

* * *

Łakniemy teatru...

Ale nie tej parodji scenicznej, którą za swój święty obowiązek uważają czasami dobrzy nawet kiedyindziej i gdzieindziej artyści, którzy raczyli na padół nędzy mińskiej zstąpić i zaszczycić nas ...ochłapami swego talentu!

Nie. My, więcej niż kto inny potrzebujemy teatru, ale teatru dobrego, — nie mając oczywiście pretensji, aby Kamiński i Frenkiel stale u nas przebywali.

Ze jednak wszędzie publiczność musi się „nauczyć“ chodźć do teatru, a nie nauczyć się znów, gdy ten teatr będzie marny, przeto powstaje circulus vitiosus, z którego wybrnąć trudno...

Gdzieindziej państwo, kraj czy gmina daje subwencje teatrom; u nas może to jedynie zrobić społeczeństwo, ale w tem trudność, jak się do tego wziąć?

Wszakże nasze organizacje (zwłaszcza jeśliby nie była bliżej znaną dewiza, widniejąca na każdym guldenie austrjackim, a opiewająca, że tylko połączonemi siłami coś zdziałać można), mogłyby na własną rękę, lub w porozumieniu wspólnem obmyślić sposób systematycznego sprawozdania co pewien czas trup polskich z odpowiedniem zapewnieniem im pewnego minimum dochodu. Jeżeli podobne kółko dramatyczne dobrze obrachowało wszelkie terminy zjazdów większych i dość wcześnie przedtem zareklamowało dane widowisko, to przy pewnej usilności, możnaby nie narażać się wcale na straty.

Ale trzeba tu popracować, trzeba oprócz głoszenia projektów, postarać się je wcielić w życie...

I znów circulus vitiosus...

Kto umiał i chciał pracować, nie może, bo albo jest zapracowany w swoim zawódzie, albo też mało popularny etc. Kto znów ma czas — ten najczęściej jakoś nie potrafi sobie dać rady z byle trudnością...

Tymczasem, o ile nie zlituje się jakaś trupa,

nie mająca w dodatku pojęcia, że u nas najlepszy teatr, jeśli nie w porze zjazdów zawita, może zbankrutować, — musimy obywać się bez sceny...

— Gdyby choć operetka! wzdychają spragnieni ludziska...

* * *

Towarzystwo Wzajemnego Kredytu *) przenosi się w tych dniach do własnej siedziby, nb. wzniesionej z niebywałym nakładem i stanowiącej istotną ozdobę miasta.

Dom sam, w stylu klasycznym (zmodernizowanym) utrzymany, imponuje spokojem i powagą linii, brakiem krzyczących ornamentów, bez których dotychczas nie pojmowano w Mińsku „pięknej“ architektury. Urządzenie wewnętrzne, nader efektowne i wykwintne, mogłoby zaimponować niejednemu bankowi warszawskiemu czy zagranicznemu.

Druga instytucja bankowa, a mianowicie miejskie Towarzystwo Kredytowe, święci znów inną uroczystość wewnętrzną.

Oto władze wyższe pozwoliły na przyjmowanie listów zastawnych tego Towarzystwa, na równi z procentowymi papierami państwowymi, jako kaucję przy rozmaitych dostawach rządowych i wogóle we wszelkich finansowych stosunkach z władzami.

Pozwolenie to jako ważny bardzo brak w rozwoju instytucji, założonej jeszcze dzięki staraniom Karola hr. Czapskiego, jest zarazem dowodem bardzo dobrego prowadzenia interesów naszego miejskiego Towarzystwa Kredytowego.

Sigma.

Nowa-Wilejka.

Im mniejsza miejscina, tem pewniejsi siebie są rozmaici królikowie, dzierżący w swym ręku władzę lub pieniądź. Przedstawiciele kapitału w naszym mieście uważają siebie widocznie za panujących niepodzielnie nie tylko w murach fabrycznych, lecz i w życiu publicznem całego miasta. Przed kilku laty za czasów poprzedniego zarządu miasta podatki od nieruchomości były określane tylko w stosunku do wartości budynku bez względu na dochód. System ten był bardzo na rękę właścicielom fabryk, gdyż mając w posiadaniu domy dochodowe w najlepszym punkcie płacili do kasy tyleż stotunkowo, ile robotnicy, mieszkający we własnych chałupach, rozrzuconych na krańcach.

Przed paru laty robotnicy-wyborcy, stanowiący znaczną większość przeprowadzili zmianę w składzie zarządu, który też zaczął stosować zupełnie inny, bardziej sprawiedliwy system podatkowy, bo oparty na dochodzie od nieruchomości. Niezadowoleni z takiego obrotu sprawy nasi fabrykanci używają wszelkich środków, aby nowy zarząd obalić i dawny porządek rzeczy przywrócić. Za najwłaściwszy sposób do osiągnięcia swego celu fabrykanci uznali presję ekonomiczną stawiając przed robotnikami dylemat: albo bezwzględne posłuszeństwo i wybory w myśl fabrykanta, albo fora ze dwora. Otóż przed kilku dniami na fabryce Possela w ten sposób został usunięty jeden z ro-

botników od kilkunastu lat tam pracujący, a sześciu czeka ten sam los. W taki sposób fabrykanci pojmują swobodę agitacji przedwyborczej.

Miejscowcy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jak onego czasu było niejako w modzie przepowiadanie rychłego końca świata, tak obecnie weszło w zwyczaj straszanie czytającej publiczności zbliżającą się wojną europejską.

Straszenie?

Niewątpliwie, ludzie obawiają się wojny; coraz większy nawet wstręt do niej czują; coraz głębiej wnika do umysłów przeświadczenie, że ani bagnet, ani armata nie mogą być organami sprawiedliwości, ale jedynie narzędziami przemocy. Stopniowo zaciera się poczucie różnicy między bandytyzmem „legalnym“ i nielegalnym.

A jednak, pomimo całej niepopularności rozpraw zbrojnych, mimo przerażenia, jakie one budzą — widmo wojny europejskiej otacza pewien urok tajemniczy. Świat spodziewa się po niej czegoś, ściśle nie dającego się określić, ale bliskiego odrodzenia ludzkości i radykalnego usunięcia obecnych waśni międzynarodowych.

A waśnie te mnożą się z roku na rok, załatwiane dorywczo, prowizorycznie. Tu i owdzie zgoda łączy się nieszczerem kompromisem; gdzie indziej, dla uniknięcia zwady mocnych, jeden z nich rzuca się niespodzianie w bok i zagryza jakieś Maroko, Trypolis lub Persję; w rezultacie saldo konfliktów rośnie.

Bilans r. 1911 wykazał je w rozmiarach tak poważnych, że jego następcą odrazu na świat przyszedł obciążony dziedzicznie gotowem do wzbuchu kartaczami.

Kości niezgody porozsiewały się dziś po całej kuli ziemskiej,

Oto nasamprzód zaostrza apetyty mocarstw rewolucja chińska. Rząd bogdychana zapewnia, że potrafiłby ją stłumić, gdyby uie mieszanie się przyjaciół europejskich. Dziś państwo niebieskie stało się już republiką, a mocarstwa bardzo są zaniepokojone, czy nowy rząd zapewni bezpieczeństwo cudzoziemcom. Więc pod wpływem tej wzruszającej troskliwości Anglicy obsadzili już swem wojskiem kolej północną; Amerykanie zapowiadają wyprawienie całego pułku; Japończycy zaopiekowali się linią Lanczau—Szanghajwan; Niemcy biorą pod swój protektorat prowincję Chili; Rosja wreszcie boleje nad zależnością od Chin — Mongolji.

Więcej jednak, niż sprawą mongolską interesuje się dziś prasa europejska zaostrzeniem stosunków rosyjsko-austrjackich, które wykazują naprężenie większe, niż w r. 1887 i 1909. Wzajemne rozdrażnienie przybrało takie rozmiary, że z możliwością wojny liczy się poważnie dyplomacja europejska. Poza tem, o ile dzienniki wiedeńskie temat ten poruszają ogólnie, o tyle prasa petersburska, z „Now. Wr.“ na czele, nie żałuje tonów śmiałych, a tamtejsi dygnitarze ewentualność starcia głośno komentują. Zdaniem ich, starcie to jest wcześniej lub później nieuniknione: oba mocarstwa dążą do opieki nad słowiańszczyzną południową, a w tem spółzawodnictwie Austro-Węgry zbyt daleko posunęły się ostatnimi czasy.

*) O rzeczonyj instytucji jak i o innych bankach ziemskich, mamy obiecany wyczerpujący artykuł. (Przyp. Red.).

Nadto referenci polityczni dzienników zwracają uwagę na takie fakty, jak skrócenie terminu paszportów, wydawanych rezerwistom austriackim (tylko do 1 marca r. b.), oraz nie udzielenie urlopów świątecznych oficerom rosyjskich załóg pogranicznych.

Najznamienniejszym wszakże objawem jest gorączkowe staranie się rządu wiedeńskiego o zdobycie sutej pożyczki, której Paryż i Londyn (wcale rzekomo, zdaniem pism wiedeńskich, nie proszone) kategorycznie odmówiły. Austrija zwróciła się wskutek tego do rynku wewnętrznego i dotąd zapewniła już sobie 200 mil. kor.

I jeszcze jeden objaw znamienny. Oto król Mikołaj czarnogórski, stale eksploatujący wszelkie zatargi rosyjsko-austriackie i austriacko-włoskie, obecnie „pożyczył“ od ces. Franciszka-Józefa 3 mil. koron.

Ze strony dworu wiedeńskiego miał to być podobno manewr antyrosyjski. Ale mógł być równie dobrze antywłoski. I z tej bowiem strony monarchja habsburska jest dziś niepokojoną.

Włochy — jak słyhać — postanowiły utworzyć nowy korpus u granicy północno-wschodniej, a nastrój antyaustriacki wzmagają się tam z dniem każdym. Rodzi się nawet pytanie, czy pozostaną one nadal w trojprzymierzu.

Odciąga je pobratymcza Francja; skuteczniej jeszcze kiwa na nie Anglja, od której zależne są, jako od królowej mórz, gdy same posiadają nadzwyczaj długą granicę morską. Niewątpliwie jednak odgrywa tu poważną rolę chęć potargowania się i poratowania „prestige'u“ na sromotny szwank w Trypolisie wystawionego. Tej ambicji włoskiej obaj sojusznicy pośpieszyli już uczynić zadość. Przedewszystkiem niezwykłą kurtuazję okazał dwór wiedeński. Wobec tego, że jeden z posłów wypowiedział w parlamencie mowę antywłoską, wyprawiono arcyks. Leopolda Salwatora z wizytą do ambasadora, ks. Avarny, którego wysoki gość miał osobiście zapewnić o głęboko italskich sympatjach dynastji habsburskiej. Z Berlina zaś wybrał się p. Kiderlen-Wächter do Rzymu, a ta jego wizyta ma nosić wyraźny charakter aktu kurtuazji.

Pomimo wszystko, Włochy się boczają. Nie mogą podobno darować Austriji, że nie dała im przenieść wojny z Turcją na grunt europejski. Odpowiedzialnym za to czynią hr. Aehrenthala, wskutek czego zrodziły się pogłoski o bliskim już ustąpieniu tego męża stanu.

Charakterystycznym jest jednak, co w tej sprawie pisze korespondent paryski londyńskiego „Daily Telegraph“. Zapewnia on mianowicie, że — zdaniem dyplomatów europejskich — jedynym ministrem, który przeszkadzał wybuchowi wojny, był właśnie hr. Aehrenthal, a jeżeli pokój ma być zerwany, to przedtem ustąpi austriacki kierownik spraw zagranicznych.

Równocześnie wszakże z próbami wzmocnienia na nowo trójprzymierza, Francja poczyniła niezadowolone swe okazywać Włochom, znalazłszy do tego pretekst w zatrzymaniu dwu statków francuskich, na których rewizja włoska ujawniła kontrabandę wojenną na rzecz Turcji.

O względy i przyjaźń tej ostatniej pozornie ubiegają się teraz wszystkie mocarstwa (z wyjątkiem Włoch, oczywiście). Są to jednak czułości natury bardzo podejrzanej. W związku z niemi ujawnia się dziś nowe wrzenie w Macedonji, gdzie nowe stowarzyszenie rewolucyjne „braci czerwo-

nych“ zarzuca młodoturkom, iż zaprzędają Bałkany kapitalistom europejskim.

Kłopoty wewnętrzne i zewnętrzne państwa otomańskiego doprowadziły wreszcie do przesilenia parlamentarnego. Izba deputowanych została rozwiązana, a rząd rozpiął nowe wybory, które mają mu dać — jak się spodziewa — komplet posłów bardziej wyrozumiałych i zgodniejszych w ocenianiu skomplikowanych zjawisk życiowych.

Luźne uwagi.

✳ **Nieporozumienie.** Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk z powodu naszej wzmianki o budowie gmachu bibliotecznego wystosował do „Kurjera Litewskiego“ list, w którym zaznacza, że „p. Łęski nie przestaje w dalszym ciągu dawać dowodów swej dla Towarzystwa przychylności“. Bardzo pięknie, ale nam chodziło o to, kto da pieniądze na dokończenie budowy. Gdy w zeszłym roku „Kurjer Litewski“ zamieścił hymn pochwalny na cześć p. Łęskiego, Zarząd Towarzystwa pośpieszył nadesłać sprostowanie, że p. Łęski bynajmniej nie podejmował się wykończenia gmachu własnym kosztem. Budowa zaś wymaga środków materialnych; sama przychylność nie wystarczy.

✳ **Miecz Damoklesa.** Spotkał nas zaszczyt nielada. Na nasze pismo zwrócił uwagę hr. Ignacy Korwin-Milewski i poświęcił mu cały odcinek w numerze 2570 „Wileńskiego Wiestnika“. Na tem nie koniec bynajmniej. Zapowiada, że wkrótce odpowie na zaczepki, których się mieliśmy dopuścić względem niego w trzech wydanych numerach. Miecz Damoklesa więc wisi nad nami. Brr!.

✳ **Ambona w prasie.** „Gazeta Codzienna“ wyraża zadowolone, że dyrekcja teatru polskiego zdjęła z afisza „Złodzieja“ na skutek „skarcenia“ jej przez redakcję klerikalnego dziennika. Dotychczas do zadań prasy należała krytyka istniejących urzędów i stosunków. Wiłocznie jednak kierownicy „Gazety Codziennej“ nie odróżniają biurka redakcyjnego od ambony, czemu się zresztą dziwić nie należy.

✳ **O specjalną konstytucję.** W „Now. Wremia“ p. Mieńczykow występuje z żądaniem stworzenia takiej „konstytucji“, która by zabezpieczyła wolne zawody od załania ich przez żydów. Żle się dzieje z adwokaturą, gdzie żydzi stanowią około 80 proc. ogólnej ilości, jeszcze gorzej z medycyną.

„Rozpoczynający praktykę lekarską lekarz żyd, znalazłszy się na prowincji rosyjskiej, zdumiewa miejscowe damy starannością swego kostjumu, pięknie ufryzowaną czupryną, paląciami oczyma „wschodniemi“. Przedostaje się on do rodzin, gdzie żony czują się zmęczone z powodu dotychczasowej wierności, i zaczyna leczyć nie tyle katary i influenzy, ile wogóle „szczęście rodzinne“ poważnych dam... Rosyjscy mężowie często nie domyślają się, czemu to ich dzieci zaczynają rodzić się z cechami żydowskimi. Szczególniejszymi ujarzmicielami niewybrednych dam są podobno dentyści żydowscy, których specjalność wymaga przyjęć w ich domach“.

Jak się okazuje, niebezpieczeństwo żydowskie w Rosji stało się tak groźne, że trzeba wprowadzić specjalną ochronę nie tylko zarobków lekarzów i adwokatów, lecz nawet i — enoty żon przeciętnych obywateli.

Istotnie, do tego potrzeba specjalnej „konstytucji“...

✳ **Jeszcze p. Obst.** P. Obst znów wgramolił się na wolną trybunę „Kurjera Litewskiego“, aby ogłosić publicznie, iż jest „konserwatystą do szpiku kości“. Na zdrowie!

Książki nadesłane do Redakcji.

Michał Römer. Litwini w Prusiech Książęcych. Odbitka ze „Świata Słowiańskiego“. Kraków. 1911.

Mieczysław Finkelstein-Ziębowski. Pieśń kobiety (część pierwsza) Skład główny w księgarni Jana Fiszer. 1912.

Birzu Kalendorius 1912. Kaunas. 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY I LITERACKO-NAUKOWY
w KRAKOWIE WSTĘPUJE w XIV ROK SWEGO ISTNIENIA.

Krytyka zajmuje stanowisko w prasie odrębne: równorzędnie traktuje sprawy wyzwolenia zarówno narodowego jak i indywidualnego, politycznego jak i społecznego. Na gruzach rozwianych nadziei walczy z apatią i reakcją, wolnym słowem usiłując pobudzić do budowy nowego gmachu. Zasadnicze artykuły polityczne pisują: Wilhelm Feldman, K. Stefański, Wł. Studnicki, K. Srokowski, St. Posner, Prof. Baudouin de Courtenay etc.

Zarazem zwraca pismo baczną uwagę na ruch naukowy u nas i zagranicą. W roku 1911 drukowało rozprawy filozoficzne o Jerzym Sorelu, (D-ra Breitera), H. Bergsonie, (K. Bleszyńskiego, J. Wł. Dawida), Simlu, (K. Bleszyńskiego), prof. Masaryku (H. Boczkowskiego), „Nowe drogi filozofii“ (D-ra M. Sobeskiego), artykuły socjologiczne D-ra Lewińskiego, Edw. Grabowskiego i in.

W dziale literackim pismo propaguje idee wielkiej sztuki i zaznajamia z ruchem literackim u nas i u obcych. Drukowała w 1911 roku nowele Sieroszewskiego, Struga, Z. Kisielewskiego, poezje T. Micińskiego, A. Langego, Wł. Orkana etc. W każdym N-rze charakterystyka wybitnego artysty-plastyka i kilka reprodukcji z jego dzieł.

Abonament należy przysyłać wprost do Krakowa—wynosi rocznie 10 rb., półrocznie 5 rb.

Adres Wydawnictwa: Kraków, Staszica 3.

ZYGMUNT NAGRODZKI w WILNIE

ulica Zawalna № 11

Poleca: pralnie Johna „CAŁA PARĄ“, magle pokojowe różnych systemów, wyżmaczki amerykańskie „Empiere“, maszynki do prasowania spirytusowe

CENY PRALNI ZNIŻONE.

Prenumerata na r. 1912. **STER** Jedyny u nas organ równouprawnienia kobiet,

domaga się jednakiej miary etyki, czystości obyczajów, swobody sumienia, praw obywatelskich dla wszystkich. Nawołuje do pracy nad kulturą swego narodu i wcieleniem w nią haseł postępu, nauki i humanitarnych idei.

Nowoprzybywające prenumeratorki, które wniosą całoroczną prenumeratę „STERU“ za rok 1912, do końca r. b. bezpośrednio do naszej Administracji, otrzymają jako PREMIMUM świeżo wyszłą z druku powieść:

„KOBIECY, KTÓRE WEZWANIE DOSŁYSZAŁY...“

Wnoszący półroczną przenum. „STERU“ na r. 1912 otrzymają artyst. wyd.: „Z DNI JUBILEUSZOWYCH“.

STER od Nowego Roku zamienia się na dwutygodnik większego formatu (gazetowy) bez podniesienia ceny prenumeraty.

PRENUMERATA WYNOŚI: w Warszawie rocz. 4 rb. pół-rocz. 2 rb. kwart. 1 rb. Z przesyłką rocz. 5 rb. pół-rocz. 2 rb. 50 k. kwart. 1 rb. 25 k. OGŁOSZENIA 20 k. za wiersz jednonazłpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Redaktorka J. BOJANOWSKA

Wydawczyni P. Kuczalska-Reinschmit i J. Bojanowska

Adres Redakcji i Administracji: w Warszawie Nowy-Świat № 4 Tel. № 153-04.

BOLESŁAW SZTRALL CUKIERNIA

Prospekt Świętojerski

Codziennie grywa Kwartet od godz. 6-tej wieczór

Przyjmuje obstalunki na wszelkie zamówienie w zakres cukiernictwa wchodzące

Czekolada i cukry codziennie świeże

Treść numeru.

Ideja Jagiełłońska—L. Abramowicza.

Nasz przemysł—M. Rømera.

Rozproszone siły — Aw.

Z życia litewskiego — m r.

Listy z Warszawy — P. M.

Słowa zatrważająco szczere — R. Minkiewicza.

Mech (bajka) — B. Hertza.

Z mego notatnika — Licza.

Przegląd piśmienniczy—D.Zgl.

Prasa polska.

Reakcja w Mińsku — W.

Korespondencje, Na widnokręgu, Luźne uwagi etc.

Odcinek: „Zelwa“ — G. Daniłowskiego.

ZAKŁAD ORTOP.-GIMNASTYCZNY

WANDY FALKOWSKIEJ

pod kierownictwem D-ra Med.

T. Dembowskiego i D-r. M. Fijałkowskiej

WILNO,

Gubernatorska 1, róg Wileńskiej.

Gimnastyka dla wątlých i skrzywionych.

Po powrocie z zagranicy godz. przyjęć 12—2 po południu.

KSIEGARNIA

„KULTURA“

Wilno, Dominikańska 14.

—:—

PRENUMERATA PISM.

WYDAWNICTWA

GWIAZDKOWE.

Wyszła z druku i jest bo nabycia nowa książka

K. Abramowicza

Wzory Statutów

współdzielczych, zawodowych, dobroczynnych, kredytowych, pożyczkowo - oszczędnościowych, straży ochotniczych, sportowych, oświatowych, rolniczych stowarzyszeń i towarzystw

z dodaniem formy próśb i podań i z wyjaśnieniem regulaminu rejestracji i zatwierdzenia statutów.

Cena 1 rb. 50 kop.

Skład główny:

Wydawnictwo „Progress“

Petersburg, Newski pr. 32.